ROK WYDAWNICTWA PIĄTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 września 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
53 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka·

STEFAN WODWICZ

PATOLOGJA FASZYZMU

Socjologiczne badanie ruchu faszystowskiego w Polsce ma do czynienia z materjałem obfitym i emocjonującym. Jak dla historyka sztuki najciekawszym przedmiotem studjów będzie nie arcydzieło utrzymane od początku do końca w jedności stylu, ale kościół czy pałac, stanowiący plątaninę nawarstwień najrozmaitszych stylów i epok, podobnie i dla socjologa znacznie wdzięczniejszym przedmiotem jest ruch, biegnący linją krętą, pełną nawrotów i załamań, będący właściwie skrzyżowaniem i dżunglą wielu ruchów różnokierunkowych, niż ruch polityczny, którego krzywa rozwoju biegnie gładko i niemal jednostajnie od dołu do góry.

Niepowodzenia historyczne, nieudane pucze, niedoszłe zamachy stanu, poronione płody ideologij i organizacyj odsłaniają znacznie szerzej kulisy wydarzeń.

Dlatego badacze współczesnych ruchów politycznych po przestudjowaniu fizjologji faszyzmu w Niemczech i we Włoszech, powinni przyjeżdżać na studja jego patologji do Polski, Jugosławji czy Rumunji. Tutaj bowiem łatwiej postawić diagnozę. Tu chory skarży się nieraz głośno i publicznie. Tu wzajemne porachunki niejednokrotnie czynią szeroką publiczność świadkiem prania rodzinnych brudów.

Podstawowem cierpieniem ruchu faszystowskiego w Polsce są „dwojaczki". Niemal jednocześnie powstały u nas dwa ośrodki polityczne, z których każdy mógł pretendować do roli macicy perłowej przyszłego polskiego totalizmu. W dodatku ośrodki te obciążone były dziedzicznym sporem historycznym, kompleksami wzajemnej wrogości, które nie są łatwe do uleczenia kuracją psychoanalityczną.

Jedno z bliźniąt przyszło na świat nieco wcześniej. Roman Dmowski tworzył swój „Obóz Wielkiej Polski" na parę lat przed wypadkami majowemi. Przewrót majowy był według wszelkich znaków na niebie i na ziemi zabiegiem chirurgicznym, który tylko uprzedził atak. Tak czy inaczej przedstawiała się sprawa naprawdę — wypadki majowe poważnie zahamowały rozwój endeckiego bliźniaka. Wkrótce potem, bo przecież kilka lat w skali historji, to chyba nie więcej, niż parę godzin, przyszedł na świat drugi bliźniaczy ruch w łonie obozu, stojącego u steru rządów. Poród jednak był ciężki i długotrwały. Każde z bliźniąt było upośledzone pod pewnym względem od urodzenia.

To upośledzenie, oczywiście z punktu widzenia kwalifikacji na odegranie roli konsolidacyjnej, było jednak odmienne, a nawet przeciwstawne u każdego z obu odłamów.

Dotychczasowe doświadczenie historyczne wskazuje, że masowa partja faszystowska może rozwijać się i dojść do władzy tylko w systemie demokracji parlamentarnej. Do lamusa nieudanych przedsięwzięć odeszły ruchy faszystowskie, rozwijające swą agitację przeciw rządom autokratycznym — na Węgrzech, w Rumunji, w krajach bałtyckich, w Brazylji. Kiedy dwa święte dary każdego ruchu faszystowskiego — przemoc fizyczna i potęga demagogji — zostaną rozdzielone pomiędzy dwa ośrodki polityczne, ich czarodziejska siła niesłychanie maleje. Demagogja społeczna pozwala ruchowi faszystowskiemu oprzeć się na dość szerokiej podstawie masowej faszystowskiej, która w połączeniu z ośrodkami siły fizycznej, sprzyjającemi najczęściej nawet w ustroju demokratycznym reakcji — daje władzę. Jednak sama moc masowej agitacji skuteczna przeciw demokracji staje się bezsilna przeciw systemowi silnej ręki. System rządów autokratycznych może się zachwiać jedynie pod ciosami rewolucji demokratycznej, która poruszy przeciw niemu najbardziej szerokie masy ludowe. Natomiast wobec t. zw. „rewolucji narodowej" wykazuje on dużą odporność. Przyczyna tkwi w fakcie, na który wskazywałem już w poprzednich artykułach, a mianowicie w ograniczonych możliwościach mobilizacyjnych ruchu faszystowskiego. Baza masowa tego ruchu nie jest nigdy siłą samodzielną, nie może ona przekroczyć pewnej granicy maksymalnej.

Jedyny wypadek zwycięstwa jednego odłamu faszystowskiego przeciw drugiemu — w Austrji — wiąże się z wkroczeniem wojsk obcego państwa i aneksją — nie jest zatem typowy dla rozwoju sytuacji wewnętrznej.

Z upośledzenia t. zw. obozu narodowego nie wynika jednak, aby t. zw. obóz sanacyjny był w położeniu uprzywilejowanem. Wprawdzie oboz ten nie potrzebował zdobywać władzy. Ale ten fakt miał jak w podwójnej buchalterji dwojakie znaczenie — ujemne i dodatnie. Jednocześnie był to zapis na „Ma" i jednocześnie na innym rachunku zapis obciążający. Sam goły fakt władzy wystarcza rządom autokratycznym dawnego typu. Do stworzenia nowoczesnej formy autokracji jest to za mało. Brak tu drugiego ramienia — masowej agitacji społecznej. Istnienie pierwszego ramienia — gotowej siły aparatu państwowego, aparatu władzy — utrudnia niesłychanie rozwój drugiego. Bo jakiż rozpęd może osiągnąć agitacja masowa, która nie może bezpośrednio lub pośrednio traktować rząd, jako główny cel swych ataków. Jest dobrze, że można podburzać aryjczyków przeciw żydom, ale jest źle, gdy nie można powiedzieć, że rząd jest narzędziem w rękach egzekutywy światowego żydostwa. Jest dobrze, gdy można rozpętać burzę w szklance wody przeciw masonom, ale jest źle, gdy nie można jej zakończyć okrzykiem: „precz z ministrami masonami". Jest dobrze, gdy można skierować szlachtę zaściankową przeciwko chłopom, katolików przeciw prawosławnym, ale jest źle, gdy nie można rzucić hasła obalenia rządu, który w myśl doktryny winien stać „na drodze do odzyskania przez daną grupę ludności słusznych praw gospodarzy we własnem państwie". Można rozpętać t. zw. „rewolucję narodową", ale nie sposób nią kierować tak, aby nie naruszyła ona podstaw istniejącego w danej chwili porządku.

Organiczna słabość „obozu rządzącego" w masowej agitacji typu faszystowskiego ujawnia się w szeregu nieudanych prób, forsowanych przez pewne elementy niewątpliwie należące do tego obozu. Tak np. ruch narodowo-socjalistyczny, który zrodził się z prorządowego odłamu N. P. R. (t. zw. „lewica") uprawiał opozycję niemal przeciw całej rzeczywistości polskiej: przeciw wszelkim międzynarodówkom i ich odpowiednikom w kraju, przeciw masonerji i obcemu kapitałowi, przeciw żydom i przeciw rodzimym klasom posiadającym i endecji, jako politycznemu ugrupowaniu reakcji. Jedno tylko przesłaniał dyskretnem milczeniem: swój stosunek do rządu. To już decydowało o zaczątkowem niepowodzeniu tego ruchu, zanim jeszcze został rozbity przez konkurencję, zdemoralizowany i wkońcu zlikwidowany przez policję.

Dodatkowo utrudniała sytuację ta okoliczność, że piłsudczycy doszli do władzy — według wszelkich danych i pozorów przeciw reakcji społecznej. Był to coprawda przewrót wojskowy, ale poparty z tych czy innych pobudek przez wszystkie stronnictwa robotnicze i radykalno-chłopskie aż do skrajnej lewicy. Ruch skierowany był przeciw rządowi klas posiadających — ziemiaństwa i burżuazji w sojuszu z najzamożniejszą warstwą włościaństwa, którą niewątpliwie reprezentował ówczesny „Piast". Traktowano zamach, jako zabieg prewencyjny przeciw rzekomo grożącemu wprowadzeniu rządów silnej ręki. Odezwy socjalistyczne w zgoła nieparlamentarny sposób atakowały osobę ówczesnego szefa rządu Wincentego Witosa. Obecnie, gdy już nic nie rozerwie sojuszu chłopów i robotników, gdy ugrupowania chłopskie podówczas o tak odmiennej orjentacji zlały się już w dostatecznie zwarte Stronnictwo Ludowe, gdy wreszcie pomiędzy czołową postacią ówczesnego Chjeno-Piasta a obecnym faszystowskim ruchem Stronnictwa Narodowego rozwarła się nieprzebyta przepaść, gdy zostały już wzniesione wspólne toasty przez dawnych frontowych przeciwników z ulic Warszawy, gdy wreszcie zapadło pierwsze postanowienie sądu w sprawie uznania gen. Zagórskiego za zmarłego — można wspominać o tych faktach bez żadnej obawy, że mogą one zamącić obecną sytuację polityczną.

Z drugiej strony — aprobata udzielona przewrotowi przez konserwatystów i przez ciężki przemysł długo wobec tego układu widocznych sił politycznych pozostawała w cieniu. Historyczne obciążenie sojusznikami przez parę lat zmuszało jeszcze system, wyłoniony z przewrotu, do utrzymywania pewnych, przynajmniej zewnętrznych form parlamentarnej demokracji. Dopiero później przyszedł Nieświeź, a znacznie później dzięki życzliwości kartelu drożdżowego B. B. W. R. mógł wzrosnąć na drożdżach wyborczych.

Jednak koncepcja B. B. W. R. nie była jeszcze koncepcją faszystowską. Hasło współpracy z rządem jest niemal wręcz przeciwieństwem demagogji masowej opozycyjnej partji faszystowskiej sprzed dojścia do władzy. Skupić ono może nie niezadowolone masy, ale elementy, które zawsze są za rządem, za porządkiem, za status quo. Toteż w procesie kryzysu ekonomicznego, w procesie pauperyzacji i deklasowania całych warstw, koncepcja taka traci grunt pod nogami.

Toteż wprawdzie z pewnem opóźnieniem — musiały się narodzić ruchy tęskniące do totalizmu i w t. zw. obozie sanacyjnym.

Okres ostatnich dziesięciu lat jest okresem równoległego, ale nieraz dialektycznie przeciwstawnego rozwoju prądów totalistycznych po obu stronach t. zw. linji podziału.

Skoro każdy z obu pretendentów do tronu posiadał jedne i nie posiadał innych kwalifikacyj i skoro te cechy wzajemnie się uzupełniały, logicznym wnioskiem z tych przesłanek było zlanie się obu odłamów w jeden, jakaś synteza, któraby stworzyła 100%-wą możliwość wprowadzenia w Polsce faszystowskiej formy rządów.

Jak możemy stwierdzić proces tej syntezy był i jest jeszcze dotychczas punktem w przyszłości, według którego orjentować należy wszystkie wydarzenia polityczne wewnątrz obu obozów. Synteza polega przedewszystkiem na zbliżeniu ideologicznem. Zbliżenie to przybrało formę asymilacji doktryny nacjonalistycznej i antysemickiej przez t. zw. obóz sanacyjny. Od znanego oświadczenia ś. p. min. Czerwińskiego, że będzie zwalczał tak samo nacjonalizm polski, jak ukraiński i białoruski, od koncepcyj ideologji „państwowej, ponadnarodowej" do nacjonalizmu czysto endeckiego droga okazała się niedaleka. Ostatni przeżytek dawnej koncepcji wojewody Józewski powędrował niedawno z Wołynia do Łodzi. W tej ewolucji niewątpliwie rolę katalizatorów odegrały elementy, pochodzące z rozłamu w Stronnictwie Narodowem, a awansowane obecnie na czołowych ideologów O. Z. N. (Stahl, Piestrzyński, Hrabyk i t. p.).

Jednocześnie odbywał się po drugiej stronie linji podziału proces skrzętnego zamazywania dawnych tradycyj demokratyczno - parlamentarnych, proces hitleryzacji t. zw. obozu narodowego. Frazeologja antyparlamentarna i antykapitalistyczna coraz częściej pojawia się w ustach jego ideologów. Jednocześnie dawny tradycyjny antysemityzm nabiera coraz więcej cech bojowych, a raczej nawet bojówkarskich.

Największą może koncesją ideową, którą w tym procesie hitleryzacji musiał udzielić obóz „narodowy" było przyłączenie się do rządowej orjentacji w polityce zagranicznej. Nowa linja polityki zagranicznej, odpowiadająca potrzebom narastającego totalizmu została zainicjowana przez obóz „sanacyjny". Tę nową linję można było jednak łatwo potraktować wewnątrz obozu prorządowego, jako nawrót do dawnych tradycyj aktywistycznych z r. 1914. Gorzej było po drugiej stronie. Aprobata nowej polityki zagranicznej była równoważna z przekreśleniem całej tradycji przedwojennej „narodowej demokracji" w tej dziedzinie. To zerwanie z dawną tra-

---

VI. 1. Pr. 380/38. Wyciąg z protokołu wspólnego posiedzenia niejawnego. Sąd Okręgowy Wydział VI. karny we Lwowie w składzie: Wiceprezes Sądu O. Ł. Malicki. Sędziowie S. O. Dr. J. Locker i Dr. K. Ponurkiewicz w sprawie konfiskaty Nr. 52 czasopisma pt. „Sygnały" z daty Lwów, dnia 1 września 1938 r. do Sygn. VI. 1. Pr. 380/38 na posiedzeniu niejawnem w dniu 2 września 1938 r. po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu Okręgowego we Lwowie, postanawia: A) uznać za usprawiedliwioną dokonaną dnia 29 sierpnia 1938 r. przez Starostwo Grodzkie we Lwowie konfiskatę czasopisma pt. „Sygnały", Nr 52 z daty Lwów, 1 września 1938 r., zawierającego: 1) w wierszu pt. „Do króla" w całości, 2) w artykule pt. „Oblicze dnia" w ustępie od słowa „Bolszewicka" do słowa „bolszewickie" znamiona występku z art. 170 kk, a nadto ad 1) art. 127 kk. zarządzić zniszczenie całego nakładu i wydać w myśl § 493 pk. zakaz dalszego rozpowszechniania tego pisma drukowego. Zarazem wydaje się odpowiedzialnemu redaktorowi tego czasopisma nakaz, by orzeczenie niniejsze umieścił bezpłatnie w najbliższym numerze i to na pierwszej stronie. Niewykonanie tego nakazu pociąga za sobą następstwa, przewidziane w § 21 ust. druk. z 17.12 1862 Dzpp. Nr. 6 ex 1863, tj. zasądzenie za przekroczenie na grzywnę do 400 złotych. B) Nie uwzględnić wniosku Prokuratora o uznanie za usprawiedliwioną konfiskatę ustępu artykułu pt. „Emancypacja ruchu pracowniczego" od słów: „Była to" do słowa „rzeczywistości" i karykatury na str. 8 z tekstem: „Wyższa szkoła jazdy" i konfiskatę tychże uchylić. Uzasadnienie: do A) Ogłoszenie drukiem wymienionych wyżej artykułów ma na celu ad 1) przez niezgodne z prawdą przedstawienie stosunków wewnętrznych w Państwie Polskiem, szerzenie nieprawdziwych wiadomości, mogących wywołać niepokój publiczny, a nadto przez tendencyjne i obraźliwe komentowanie polityki wewnętrznej i zewnętrznej Rządu Państwa Polskiego, zniewagę tegoż Rządu; zaś ad 2) przez tendencyjne niezgodne z rzeczywistym stanem rzeczy komentowanie sprawy prawosławia w Polsce, oraz zarządzeń władz administracyjnych — szerzenie nieprawdziwych wiadomości, mogących wywołać niepokój publiczny. Według §§ 487, 489, 493 pk. oraz §§ 36 i 37 ust. pras. jest zatem powyższe postanowienie uzasadnione; do B) w ustępie artykułu i karykaturze pod B) wymienionej nie dopatrzył się Sąd znamion przestępstwa. Przewodniczący: Malicki wr. Protokolant: Czołowski wr. Za zgodność kier. sekr. (podpis nieczytelny).

dycją jest może najbardziej symptomatycznym objawem narastania prądu faszystowskiego w łonie stronnictwa. Nie dokonało się ono jednak bez zgrzytów i nie dokonało się całkowicie. O ile spośród starych wodzów obozu Roman Dmowski i Stanisław Kozicki wraz z całem młodem pokoleniem opowiedzieli się za nową linją, o tyle w starem pokoleniu pokutują jeszcze dawne tradycje, odradzające się niekiedy przy sprzyjających okolicznościach. A sprzyjających okoliczności nie brak, spowodu zasadniczej trudności, wynikającej z uroszczeń odrodzonego imperjalizmu niemieckiego.

Deklaracja pułk. Koca była niewątpliwem przypieczętowaniem procesu syntezy ideologicznej. Jednocześnie z syntezą ideologiczną musiały się odbywać procesy, zmierzające do syntezy czy konsolidacji organizacyjnej. Jednak na tym gruncie sytuacja była znacznie trudniejsza. Za mniejsze trudności należy uważać tradycyjny spór historyczny i problem ambicyj personalno-organizacyjnych, problem wodza. Problem wodza jest oczywiście bardzo ważny w problematyce ruchu faszystowskiego. Zagadnieniem tem trzeba zająć się osobno.

Główna trudność syntezy organizacyjnej wynikała jednak z objektywnej sytuacji obozów politycznych.

Aby swą tradycyjną bazę masową unowocześnić i rozbudować w kierunku faszystowskim nie mógł się t. zw. obóz narodowy wyrzekać tego atutu agitacyjnego, który daje stanowisko opozycyjne. Przeciwnie, należało to stanowisko pogłębiać, podkreślać jeszcze mocniej. Z drugiej strony każdy ruch faszystowski musi mieć swą reakcję, przeciw której rzuca się oskarżenia o egoizm klasowy i na którą przerzuca się podejrzenie o reprezentowanie interesów kapitału. Obóz prorządowy był długi czas związany z konserwatystami, reakcję więc dla rodzących się ruchów faszystowskich w łonie tego obozu mogli stanowić tylko endecy. Przynajmniej dopóty, dopóki Bogusław Miedziński nie wpadł na dowcipną myśl wyłączenia konserwatystów z szeregów O. Z. N. i uczynienia z nich własnych „niemiecko-narodowych“.

Stąd paradoksalna sytuacja, że synteza ideologiczna i organizacyjna dwóch obozów musi się dokonywać nieraz poprzez zaostrzanie metod walki pomiędzy niemi.

Z tych trudności rodzi się dalej drugi paradoks, że proces konsolidacyjny (który traktowany oczywiście nie jako konsolidacja narodu, ale jako konsolidacja reakcyjnych ugrupowań politycznych, odbywa się istotnie) może odbywać się tylko drogą rozłamów i rozproszkowania istniejących sił politycznych. Odwrotnym medalem konsolidacji w tych warunkach jest dekompozycja i niema na to rady.

Z tych wszystkich trudności organizacyjnej syntezy wyrasta geneza O. N. R. i dalszych rozłamów w szeregach tej grupy, jak również późniejszego rozbicia w Obozie Zjednoczenia Narodowego. Tym sprawom, a zwłaszcza genezie O N. R. poświęcę jeszcze osobno trochę uwagi.

Nie należy jednak przypuszczać, że synteza ideologiczna przeszła zupełnie bezboleśnie.

Procesom syntezy musiały towarzyszyć procesy rozkładu dawnych związków. Z tych procesów rozkładu wyłoniły się nowe zupełnie produkty.

Produktem ubocznym procesu hitleryzacji dawnej endecji jest „Front Morges“ czyli obecne Stronnictwo Pracy. Produktem ubocznym faszyzacji głównego trzonu obozu sanacyjnego jest t. zw. lewica legjonowa i Stronnictwo Demokratyczne.

I jakkolwiek te dwa nowopowstałe ugrupowania wyrosły w przeciwstawnych obozach, wyrosły właśnie z niechęci do procesu ich zrastania i stąd nie mogą się otrząsnąć z niechęci we własnem wzajemnym stosunku; jakkolwiek jedno jest ultraklerykalne a drugie antyklerykalne — jest między niemi coś wspólnego, co wynika z równoległości i równoczesności ich powstania i co przesądza o ich podobnej roli w obecnej sytuacji. I kto wie, czy ewolucja ś. p. Gabrjela Czechowicza nie była nie tylko przypadkowym losem polityka, wyrzuconego z własnego statku za burtę, ale czemś więcej jeszcze.

W każdym razie patologiczny rozwój ruchu faszystowskiego w Polsce, obok drugiej ważnej przyczyny — zmian w świadomości mas ludowych — doprowadził do tego, że w jesieni 1938 r. stoimy w obliczu sytuacji zupełnie odmiennej, niż w maju 1926 r. Możnaby nawet powiedzieć, że sytuacja ta jest zupełnie przeciwstawna, gdyby to nie było zbyt wielkie uproszczenie skomplikowanych zjawisk.

Stefan Wodwicz

JÓZEF LUBOJAŃSKI

DWA KATOLICYZMY

Marja Fidererówna dała nam („Antyklerykalizm czy wolność sumienia“, „Sygnały“, nr. 52) przegląd grzechów głównych polskiego katolicyzmu. Przedewszystkiem — powiada autorka — „Mały Dziennik“ i „Rycerz Niepokalanej“. Słusznie! Episkopat polski złą przysługę oddaje kulturze polskiej, a najgorszą chyba samemu katolicyzmowi, zezwalając braciszkom niepokalanowskim na tę obskurną robotę. Znam wybitnych katolików, którzy się rumienią, gdy wspomina się o wydawnictwach Niepokalanowa. Masowy kolportaż tych pism napewno nie równoważy poważnych szkód, jakie one powodują w opinji całej kulturalnej Polski o polskim katolicyzmie. Prawo małżeńskie? Niewątpliwie prawo małżeńskie w Polsce byłoby już dawno skodyfikowane, gdyby nie akcja katolików. Pamiętajmy jednak i o tem, że nie wszystkie zarzuty, jakie katolicy stawiali projektom prawa małżeńskiego, były tak bezpodstawne, jak się powszechnie sądzi. Minęły już te czasy, gdy reformy małżeńskie i seksualne w stylu Boy'a były uważane za szczyt postępu, za ostatni krzyk ultralewicowości. Prawdziwie postępowe postulaty w zakresie prawa małżeńskiego wcale nie polegają na tem, by ludzie mogli się parzyć i rozchodzić kiedy im przyjdzie ochota.

Fidererówna słusznie nazwała polski antyklerykalizm antyklerykalizmem społecznym. Wyrasta on przedewszystkiem z socjalnego podłoża: z konfliktu między wsią i plebanją. Spory ustęp w polskim konkordacie o reformie rolnej jest z tego punktu widzenia bardzo charakterystyczny. Nie nasza to wina, że tak często droga chłopa do obszarniczych gruntów prowadzi przez plebanję. Polski katolicyzm i polski antyklerykalizm mają w sobie wiele cech hiszpańskich. To jest istotnie antyklerykalizm społeczny, którego nie usuną ani katoliccy ani lewicowi publicyści, choćby kierowani najlepszemi zamiarami. Tylko usunięcie gospodarczo-społecznych podstaw konfliktu między wsią a plebanją może sprowadzić zmierzch antyklerykalizmu tego typu. Rozdział kościoła od państwa napewno wyszedłby „na zdrowie“ polskiemu katolicyzmowi, choć bez wątpienia przyniósłby poważny uszczerbek materjalnym interesom kleru. Kościół w gruncie rzeczy zawsze był słaby tam gdzie był materjalnie silny. Wielkie majątki zawsze obniżały lot katolicyzmu. Nie nadarmo mówił Chrystus, że królestwo Jego nie jest z tego świata. Prawdziwie silny i zdobywczy kościół, to tylko biedny kościół. Wybitne stanowisko, jakie dzisiaj zajmuje katolicyzm francuski jest w wielkiej mierze wynikiem tego, że wskutek istnienia we Francji rozdziału kościoła od państwa kler francuski mniej uwagi poświęca nienaruszalności kościelnych latyfundjów. Jednak antyklerykalizm społeczny, o którym pisze Fidererówna, nie jest wcale równoznaczny z antykatolicyzmem. Spotkałem wielu robotników, dobrych socjalistów, którzy bardzo trafnie odróżniają swego parocha od kościoła i katolicyzmu, na co z różnych przyczyn nie umie się zdobyć wielu lewicowych inteligentów, którzy na katolicyzm patrzą przez okna proboszczowskiej alkowy i nic dziwnego, że z tej perspektywy nie widzą niejednego zastanawiającego objawu w dzisiejszym katolicyzmie. Ten rodzaj antyklerykałów miałem na myśli, gdy pisałem, że obóz socjalistyczny nie ma powodów martwić się zanikiem tego płyciuchnego choć krzykliwego antyklerykalizmu.

Pisząc o zmierzchu antyklerykalizmu myślałem przedewszystkiem o stosunkach francuskich. Ale i w Polsce widoczne są pierwsze objawy analogicznego procesu. Polski katolicyzm ma wiele grzechów. Ma ich napewno więcej i niekiedy dużo poważniejszych, niż te, które wyliczyła autorka artykułu „Antyklerykalizm czy wolność sumienia“.

Ale to nie powinno nam zamykać oczu na to, jak coraz liczniejsze grupy polskich katolików w sposób, który nawet u przeciwnika budzić musi uznanie, zabierają się do walki z temi grzechami. W Polsce mamy dzisiaj dwa katolicyzmy. Wystarczy przeczytać „Mały Dziennik“ i „Polonię“, aby się przekonać, że twierdzenie takie, to coś więcej, niż pretensjonalny paradoks. Powie ktoś: między jednym a drugim katolicyzmem istnieje tylko stosunek reguły do wyjątku. Być może. Ale właśnie o to chodzi, co w polskim katolicyźmie będzie regułą, co zaś wyjątkiem. To obchodzi nie tylko katolików. Przecież i we Francji obok katolicyzmu Maritaina istnieje coprawda potępiony przez Watykan, katolicyzm Maurrasa, a jednak mówiąc o katolicyzmie francuskim myślimy wszyscy o tym katolicyźmie, którego symbolem jest Maritain. W pewnym sensie już w okresie naszej niewoli państwowej były w Polsce dwa katolicyzmy. Jeden to był ten katolicyzm, który interpretując na swój sposób katolicką zasadę „wszelka władza pochodzi od Boga“, jagnięcą uległość wobec zaborców pasował na chwalebną cnotę chrześcijańską, w walce zaś z niewolą widział nie tylko zbrodnię wobec władzy, ale także grzech wobec Boga. Był jednak i inny katolicyzm, katolicyzm, który ma niejedną piękną kartę w historji naszych walk o niepodległość, katolicyzm, któremu w pierwszym rzędzie zawdzięczamy polskość Śląska i Poznańskiego. Dziś obok katolicyzmu, o którym pisze Fidererówna, a którego kontynuatorami mimo swego formalnego nowatorstwa są katoliccy totaliści spod znaku Stronnictwa Narodowego i O. N. R.-u mamy w Polsce także inny katolicyzm. Katolicyzm, który umie niezależnie od chwiejności dyplomacji watykańskiej zdobyć się na potępienie rasizmu, który umie patrzeć objektywnie na tragedję hiszpańską, który uczciwie choć nie zawsze trafnie podchodzi do wielkich zagadnień socjalnych, który w demokracji widzi najlepszą gwarancję wolności. Polscy katolicy pod okiem polskiego episkopatu wydają „Mały Dziennik“ i „Rycerza Niepokalanej“. To niestety prawda. Ale polscy katolicy urządzają także od kilku lat t. zw. katolickie tygodnie społeczne, utrzymane na poziomie intelektualnym, którego należałoby życzyć wszystkim lewicowym imprezom kulturalnym. Oczywiście, dziś ciągle jeszcze dla polskiego katolicyzmu miarodajny jest poziom moralny i intelektualny Niepokalanowa, ale jutro może być inaczej. Dla polskiej kultury taka zmiana byłaby napewno korzystna.

Coraz częstsze omawianie na łamach prasy lewicowej problemów dzisiejszego katolicyzmu w sposób daleko odbiegający od wytartego szablonu antyklerykalnego budzi liczne wątpliwości w samym obozie lewicowym. „Poco ta bezpłatna reklama dla katolicyzmu“ — powiadają ludzie, którzy trudno oswajają się z myślą, że socjalizm może mieć ważniejsze zadania, nie walkę z katolikami. Wielu marxistów przenosząc mechanicznie marxowską metodę badania zjawisk społecznych z dziedziny zjawisk gospodarczo-socjalnych na grunt problemów kulturalnych upraszcza ogromnie całe zagadnienie dzisiejszego katolicyzmu, pozbawiając się w efekcie możności spostrzeżenia i zrozumienia wielu nowych i interesujących objawów we współczesnym katolicyzmie. Zainteresowanie się nowemi prądami katolickiemi w obozie socjalistycznym jest jak najbardziej uzasadnione. Antyklerykałowie starego typu powinni być przygotowani na to, że jeśli do bitwy z katolicyzmem pójdą uzbrojeni w argumenty antyklerykalne i antyreligijne starego typu, mogą wrócić do domu sromotnie pokonani. Dzisiejszy katolicyzm to nie jest katolicyzm sprzed lat kilkunastu, na którym każdy młodzieniec po przeczytaniu kilku popularnych broszur Kautsky'ego mógł nie zostawić suchej nitki. Powinniśmy interesować się dzisiejszym katolicyzmem tem bardziej, że młodzi katolicy owiani duchem neokatolicyzmu, zrozumieli także, że obrzucanie marxistów niewybrednemi obelgami nie jest najlepszym i najskuteczniejszym środkiem walki z socjalizmem. Mam ciekawe spostrzeżenia z terenu akademickiego. Większość moich kolegów akademików-socjalistów znała de Mana ze streszczeń w „Robotniku“, natomiast znajomi akademicy-katolicy szturmowali mnie poprostu o książki de Mana, które były przedmiotem kilku referatów i — podobno — ożywionej dyskusji w akademickiem „Odrodzeniu“.

Polska prasa faszystowska węsząc w naszem zainteresowaniu się katolicyzmem wielką grę masońską, usiłuje nam odmówić prawa zajmowania się sprawami katolicyzmu. Śmieszne uroszczenia. W kraju takim jak Polska, w którym wpływy katolicyzmu są tak silne, wszelkie przeobrażenia, jakie się w nim dokonywają muszą żywo obchodzić każdego, kto poważnie traktuje zagadnienia społeczne. Ciekawe jest stanowisko prasy katolickiej wobec częstych dziś w prasie lewicowej artykułów o katolicyzmie. Prasa katolicka jest pełna zakłopotania. Nie może tym artykułom zarzucić braku objektywizmu, straszy ją jednak widmo, tak plastycznie roztoczone przed oczami katolików przez prasę faszystowską, znalezienia się w sojuszu „z bolszewikami i masonami“. Należy uspokoić prasę katolicką. Nie zamierzamy przeczyć, że jak największy objektywizm w polemikach między publicystyką socjalistyczną i katolicką może się przyczynić do zawarcia politycznego sojuszu socjalistycznego proletarjatu z katolickiemi antykapitalistycznie nastrojonemi warstwami średniemi. Wielu socjalistów sojusz taki uważa za jedyny sposób zniszczenia faszyzmu, który przecież dał się we znaki nie tylko socjalistom. Do tego samego przekonania dochodzą katolicy wtedy, gdy jest zapóźno (Schuschnigg). Mimo to w obozie socjalistycznym nikt nie myśli poważnie o zasypaniu zasadniczych przeciwieństw między socjalizmem a katolicyzmem, nawet katolicyzmem społecznym.

Lekceważenie przeciwnika, ignorancja wobec tego, co się dzieje w jego obozie, nie jest najlepszą metodą prowadzenia walki. Rezultaty, jakie przy pomocy tej metody uzyskali przeciwnicy socjalizmu, nie zachęcają do naśladownictwa. Powtarzam: są w Polsce dwa katolicyzmy. Jest rzeczą ważną, by publicystyka lewicowa nauczyła się je rozróżniać. Zapewne żaden z publicystów lewicowych, którzy wołają o objektywny stosunek do nowych prądów w katolicyzmie, nie chce usypiać czujności opinji demokratycznej wobec groźnych i bezpodstawnych uroszczeń kleru w naszem życiu społecznem. Postulat rozdziału Kościoła od państwa nie stracił nic ze swojej aktualności. Jesteśmy przekonani, że dopiero po urzeczywistnieniu tego postulatu stosunki między obozem demokratycznym a Kościołem ułożą się w Polsce pomyślnie. Nie chcemy naśladować Thoreza, który przeszłość historyczną kościoła ocenił wyżej od niejednego krytyka katolickiego. Chcemy jednak, by zniknął ten typ lewicowca, który uważa, że socjalizm to: 1) — walka z najbliższym proboszczem, 2) — walka z kościołem, 3) — walka z religją. Socjalizm, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, ma dużo poważniejszych kłopotów.

JUBILEUSZ „SYGNAŁÓW“

W „Robotniku“ z dn. 14 sierpnia ukazał się artykuł J. N. Millera „Jubileusz „Sygnałów“, omawiający dorobek naszego pisma:

Dn. 1-go sierpnia „Sygnały“ — lwowski dwutygodnik społeczno-literacki — wydały 50-ty numer. Jest to w swoim rodzaju jubileusz, któremu warto i należy poświęcić słów kilka refleksyj.

Swego czasu starostwo lwowskie, uwiedzione powodzeniem akcji tępicielskiej i obskuranckiej w kraju, postanowiło uwieńczyć się laurami szczególnej zasługi.

Wobec braku jakiejkolwiek rzeczowej podstawy, którąby uprawomocniła likwidację pisma (jedynem przestępstwem jego było to, że istniało...) przypomniano sobie jakiś paragraf z ustawy prasowej austrjackiej z ubiegłego stulecia — i zamknięto pismo za to, że... cenzura utrudniała mu regularne wychodzenie...

Tym razem jednak „wielkości miejscowe“ jakoś się przeliczyły. Niewiarogodna i niedorzeczna z gruntu motywacja zawieszenia pisma narobiła wrzawy niemałej — nastąpiła interwencja władz centralnych i pismo ocalało.

Od tego znamiennego zdarzenia minęły już dwa lata. „Sygnały“ ze skromnego pisma regjonalnego stały się „regularnie wychodzącem“, poważnem pismem ogólnopolskiem, które skupiło sporą ilość wybitnych piór literackich ze wszystkich części kraju.

Zasięg wpływu i oddziaływania pisma wykroczył daleko poza Lwów. „Sygnały“ stały się w ostatnich czasach pierwszem pismem regjonalnem, które nabrało ogólniejszego znaczenia. Pismu udało się przełamać ten dziwaczny monopol Warszawy, świadczący o pewnej bierności ośrodków prowincjonalnych.

„Sygnały“ wyróżniają się nader dodatnio szeroką platformą myśli, która pozwala w nich współpracować ludziom nawet bardzo oddalonym od siebie.

Głęboko humanitarne podejście do wszelkich spraw ludzkich i zagadnień, dbałość o prawa i godność człowieka niezależnie od jego „rasy“, klasy i narodowości — wszystko to czyni z „Sygnałów“ w chwili obecnej redutę walki społecznej i postępu.

Pismo nie zmierza bynajmniej do łatwych, propagandowych uproszczeń. Dopuszcza do rozważania i prześwietlania spraw i zagadnień z „kierunkowego“ punktu widzenia raczej niewygodnych, uwzględnia wszelkie możliwe odchylenia.

„Sygnały“ są jednem z pierwszych pism lewicowych, traktujących poważnie i rzeczowo sprawy kultury katolickiej.

Świadczy to w każdym razie chlubnie o odwadze myślowej redakcji, o pokonaniu psychologji klikowej, która sprawuje rządy nad popularnemi u nas pismami literackiemi.

W „Sygnałach“ można zaatakować każdego z współpracowników na prawach równej, byle poważnej dyskusji (casus: Zegadłowicz — Boreisza), co byłoby rzeczą absolutnie niemożliwą np. w „Wiadomościach Literackich“, w których grupka wybranych współpracowników jest nietykalna i poza wszelką dyskusją.

Wszystko to nadaje pismu charakter wysoce liberalny i demokratyczny, gdyż niema w niem sztucznych hierarchij, ani elity uświęconych bonzów. Żyje więc życiem swego szerokiego zasięgu, pozwalając każdemu, zwłaszcza różnym grupom młodzieży, na owocną i kształcącą współpracę.

Uwzględniając w stosownej skali zagadnienia regjonalne, „Sygnały“ (obok „Kameny“) wprowadziły dział kultury i literatury ukraińskiej. Przyczyniają się w ten sposób do częściowego bodaj przysypania tej przepaści niezrozumienia i nieufności, jaka dzieli społeczeństwo polskie od ukraińskiego.

Witając 50-ty, jubileuszowy numer pisma, wyrażamy życzenie — by „Sygnały“, które przetrwały już niejedną ciężką próbę, mogły się rozwijać i rozszerzać nadal swobodnie, zdobywając coraz nowe kręgi czytelników, by zyskały tę popularność i uznanie, na które w zupełności postawą swoją i pracą zasługują.

J. N. Miller

IGNACY FIK

ESTETYKA MARITAINA

Maritain jest dziś modny w Polsce. Z różnych powodów nazwisko jego nie schodzi z łam prasy politycznej, a coraz częściej pojawia się w artykułach literackich. Neokatolicyzm, humanizm i nowa sztuka oprzeć się pragną na nim, jak na silnej kolumnie, której można zaufać. Wiąże się z nim różnorakie tendencje i nadzieje. Co więcej: wyprowadzać się chce z niego nowe prądy. Ostatnio np. pewna grupa poetów polskich usiłuje go ogłosić patronem nowego kierunku w sztuce, który ona pragnie praktykować.

Mimo tego prawdziwa znajomość Maritaina w Polsce jest niewielka. Ostatni spór na temat wyrwanego cytatu o „finis operantis“ i „finis operis“ zdradza zasadniczą nieznajomość estetyki maritainowskiej u dyskutantów. Coprawda istnieje dobry przekład zasadniczego w tym zakresie dziełka „Sztuka i mądrość“, dokonany przez Górskich, trudna jednak terminologja scholastyczna, nadmiar przypisów i cytatów, przelogizowanie wywodów i ton pełen mistycznych aluzyj — sprawiają, że czytelnik zazwyczaj zadowala się kilku wyrwanemi z tekstu aforyzmami, które w izolacji mogą być różnorako interpretowane. Pisarzy, nie należących do oficjalnego obozu katolickiego, Maritain odstrasza zgóry jako pisarz religijny, narodowi ortodoksi zaczynają się zaś brzydzić nim jako zgniłym humanistą, który nie chce uwielbiać gen. Franco ani błogosławić pogromom żydowskim.

Tymczasem po przezwyciężeniu trudności zewnętrznych czytanie dziełka Maritaina staje się wielką przyjemnością intelektualną. Jest przykładem (choćby się ktoś z założeniami nie zgadzał) wielkiego ładu myślowego, odpowiedzialności i wiedzy. I — jak się później okazuje — dużej także mądrości i aktualności. Te dwa ostatnie względy powinny też zadecydować o obowiązku zapoznania się z jego treścią.

Miejsce sztuki. Według Maritaina sztuka przeciwstawia się wiedzy przynależnością do innego „porządku“. Wiedza ma charakter spekulatywny, jest wytworem inteligencji, która dąży do czystego, bezinteresownego poznania. „Wiedza odkrywa prawdę, aby się nią rozkoszować. Pożera istotę rzeczy, pije ją, aby sama stać się wszystkiem“. Sztuka natomiast polega na **tworzeniu.** Ma więc w najogólniejszym sensie charakter praktyczny. Celem jej mianowicie jest wykonywanie pewnych wytworów, zwanych dziełami sztuki. Różni się od praktycznego działania ludzkiego tem, że tamto oceniane jest ze względu na swój pożytek i zastosowanie przez człowieka. Działanie z tego powodu podlega wartościowaniu moralnemu, jest zaś wynikiem roztropności, która stara się o zapewnienie człowiekowi pewnego dobra. Inaczej w sztuce. Tu oceniane są nie intencje i zastosowania, ale sam wygląd wytworu. W stosunku do czego? W stosunku do swego immanentnego sensu. Prawa i kryterja czerpie sztuka z **analizy swych konstrukcyj,** które decydują o jej istocie. Toteż sztuka jest „ludzka“ tylko o tyle, że jest tworzona przez ludzi, z ludzkiego materjału i dla ludzi, pozatem charakterem swych wytworów niezależna jest od psychologji. Uzyskuje charakter objektywny, absolutny.

Struktura dzieła sztuki. Cóż jest tą immanentną konstrukcją dzieła? Skąd się ona bierze? czy wynika sama z siebie? z metafizyki? Nie! Dostarcza jej dziełu **zamiar** ludzki. Mieści się on wcześniej w umyśle twórcy jako idea. Dzieło sztuki jest materjalizacją tej idei, wyciśnięciem idei na materji. Stąd ważna konsekwencja: sztuka jest zasadniczo **twórczością intelektu,** jako podłoża idei. Dlatego też kierowana być powinna przez rozum. Kierowana, bo wykonywana jest przez — ręce. Umiejętność techniczna nie decyduje o dziele, staje się jednak nieodzownym warunkiem materjalnym i zewnętrznym. Technika nie tworzy nowej sztuki, ale usuwa przeszkody w jej realizowaniu. Jest nieodzowna, ale niesamowystarczalna. Sztuka istnieje wszędzie tam, gdzie zarysowuje się wyraźnie rozumny zamiar twórczy, szlachetność inteligencji. Niema jej natomiast, gdzie jest przypadek, niejasność albo naśladownictwo.

Artysta. Artystę oceniać można dwojako: jako indywidualną osobowość i jako wykonawcę dzieł. Sztukę obchodzi tylko ten drugi aspekt. Sztuka nie może się interesować artystą jako człowiekiem w jego relacjach religijnych, moralnych, społecznych itp. Mówi Maritain: „Człowiek nie grzeszy jako artysta“. Zasadniczo artysta jest „amoralny“. W artyście cenimy tylko jedną zdolność: dobre wykonywanie dzieł sztuki. Oczywiście, rozdział między człowiekiem a artystą jest czysto pojęciowy, na terenie psychiki jest fikcją. W człowieku zawsze będzie istniał funkcjonalny związek między nim jako indywidualnością ludzką a artystą. Zdolność artystycznego formułowania idej i realizowania ich w dziele wynikać będzie zawsze ze struktury osobowości artysty. Zasadniczą jest więc rzeczą zbudować personalność wyposażoną w „cnoty“ intelektu praktycznego, one bowiem są rękojmią „nieomylnej prawości formalnej“ dzieła. Musi to jednak być załatwione przed sztuką i jest problemem nie sztuki ale wychowania. Maritain przewiduje możliwość konfliktu u twórcy na tle przeciwstawienia: człowiek — artysta, sztuka — moralność i sądzi, że da się to tarcie usunąć przez pokorę. Przez pokorę zaś rozumie uwielbianie nie siebie jako artysty, ale rzeczy przez sztukę tworzonych.

Przeżycie estetyczne. Zadaniem dzieł sztuki jest dostarczanie przeżyć estetycznych piękna. Czem one są? Określa je Maritain jako: **radość z poznania intuitywnego.** Zawiera więc ono trzy momenty: emocjonalny (radość), intelektualny (poznanie) i zmysłowy (intuitywne) .Te czynniki są w ścisłem przymierzu, wynikiem zaś ich harmonji jest odczucie pokoju. Stąd kojące i uszlachetniające działanie objektów sztuki. W tym zespole motyw inteligencji jest momentem koordynującym. Zmysły muszą mu służyć, a rozkosz z niego wynika. (Intuicja nie tylko nie jest przeciwna rozumowi, ale nim uwarunkowana). Żeby wywołać przeżycie estetyczne, musi mieć dzieło sztuki trzy cechy: a) zupełność (pojęta ona jest jako idea jedności, którą wyczuć się powinno poprzez każdy fragment, stąd też i części dzieła mogą być piękne, np. Wenus z Milo), b) proporcjonalność (tj. inteligentne rozłożenie części w pewnym funkcjonalnym porządku), c) jasność (t. zn. poznawalność; nie jest ona postulatem zrozumiałości dzieła przez każdego odbiorcę, ale żądaniem tłumaczącej się logiki i celowości, jak i prostoty w konstrukcji dzieła). Warunki te muszą być zachowane dlatego także, aby poznanie mogło być nagłe, intuitywne, dostarczone przez ogląd zmysłowy. Dzieło sztuki nie może być przeżywane w kategorjach spekulacji i abstrakcji (te bowiem przynależą poznaniu naukowemu). Ale dodaje Maritain: „Jeśli sam akt percepcji piękna odbywa się bez rozstrząsania i bez wysiłku abstrakcji, to jednak ruch umysłowy, prowadzący do wyobrażenia pojęcia może mieć wielki udział w przygotowaniu tego aktu (wychowanie, racjonalne wytłumaczenie dzieł sztuki itp“). Z tego to powodu właściwe piękno dzieł ukryte może być dla nieuków. Piękno dzieła sztuki jest absolutne w tym sensie, że jest właściwością bytu ukształtowanego w realne dzieło sztuki. W stosunku do odbiorcy jest ono jednak względne, t. zn. odkrycie jego uzależnione jest od odpowiedniej zdolności percepcji, od zajęcia odpowiedniej postawy estetycznej, od rozwoju inteligencji itp.

Ponieważ piękno jest atrybutem bytu, wszystko może być piękne. Że zaś istnieje z punktu widzenia filozofji Maritaina hierarchja bytów (najwyższym bytem jest Bóg), istnieje także hierarchja piękna. Skale te nakrywają się zupełnie, z tego też powodu najpełniejsza istota bytu ujawnia się najlepiej w najdoskonalszych dziełach sztuki. Poprzez nie też osiągamy najlepszą znajomość Boga, coraz ściślej się z nim łączymy, Bóg bowiem będąc najwyższym bytem, musi równocześnie być wszędzie tam, gdzie jest najwięcej piękna. Poza tem pogłębianiem duchowości ludzkiej, przeżycia estetyczne mają wartość społeczną. Sztuka komunikuje ludzi z sobą, łącznikiem jest światło umysłu. Sztuka wychowuje człowieka, wyprowadzając go poza niego w świat objektywnych wartości. Jakkolwiek do dzieł sztuki mogą należeć wszystkie wytwory, wyróżnić się dadzą t. zw. sztuki piękne dzięki stopniowi swej samowystarczalności i przewadze pierwiastka idealnego nad materjalnym. Maritain określa tę różnicę sensem, jaki różni człowieka od innych istot żyjących. Duchowość dzieła nie może być jednak nigdy absolutna, stąd też artysta nigdy nie może zaznać szczęścia zupełnego. Nie wyrazi nigdy pełni czystego piękna, jest tylko na jego śladach, „kierując się jego wonią“.

Metody twórczości. Dzieło sztuki składa się z trzech warstw: a) z materji, b) z indywidualnie zastosowanych, c) reguł formalnych. Reguły te nie są jakiemiś szablonami czy konwenciami, ale racjami, wynikającemi z istoty określonych dzieł sztuki. Nie są mechanicznie i same przez się działającemi formułami, akademickiemi przepisami czy gotowemi schematami, lecz raczej indywidualnem „usposobieniem“ organizmu artysty. Nie są wrodzone, lecz wymagają długiej kultury i dyscypliny. Naturalne zdolności (np. wyobraźnia) nie są rzeczą wystarczającą. Są to tylko naturalne dary, niezbędne zresztą, i warunki przedwstępne, które muszą być przekształcone w **artystyczne sposoby regulacyjne,** które narzuca się potem materji. Uzdolniają one artystą do działalności twórczej, są dyspozycjami czy władzami, ale oczywiście nie decydują jeszcze o zaistnieniu faktów artystycznych. Te są wynikiem dołączenia się czynnika trzeciego: intuicji syntetycznej, doraźnej koncepcji, wysiłku wynalazczego. (W przypisku objaśnia Maritain, jak się taki proces koncepcji dzieła odbywa. Zaczyna się od niedającej się wyrazić w pojęciu wizji, schematu dynamicznego, „racji nasiennej“, która zaciekawia inteligencję, wyobraźnię i zmysły artysty. Ta wizja staje się punktem stałym, któremu artysta podporządkuje środki, jakie mu sztuka daje. Charakter zaś tej wizji zależy od całego bytu duchowego i zmysłowego artysty). Można być teoretycznie doskonałym poetą, a mimo to nie tworzyć żywych dzieł sztuki. Wtedy mianowicie, gdy reguły staną się manjerami. Dlatego z działalnością poety wiąże się obowiązek oryginalności, którą Maritain nazywa „prawem odnawiania“. Nie można ciągle pasorzytować na wynalezionych już sposobach piękna. Grozi to wyjałowieniem sztuki. Zmiana ekspresji jest nieodzowna, choćby nawet spowodowała chwilowe obniżenie poziomu. Oryginalność nie może być płytką pogonią za nowością, dojrzewa się do niej powoli przez wypracowanie reguł kierujących. Wszelkie gorączkowe przyspieszanie tego procesu jest wyniszczaniem w sobie ducha twórczości. Jest oznaką nędzy intelektualnej i społecznej.

W odróżnieniu od sztuk stosowanych, które są porządkowaniem materji według dominant zewnętrznych (np. okręt, zegar), dzieło sztuki pięknej cel swój zakłada na terenie psychiki artysty. Stąd jest ono wyrazem uporządkowania duchowego danego twórcy. W artyście podlec więc musi ładowi cała sfera jego pożądań, wzruszeń i myśli. Uporządkowanie to musi być głębokie, wszelki niepokój, brak koordynacji ducha, zamęt zmysłów itp. sprowadzić muszą poniżenie jego koncepcji a więc i całej jego sztuki. „Kochać tylko poszukiwanie, z tym warunkiem, aby nic nigdy nie znaleźć, pożądać tylko niepokoju, to znaczy nienawidzieć prawdy“.

Jakkolwiek celem sztuki jest produkcja dzieł, to poprzedzona ona jest pewnem działaniem artysty, który za każdym razem decydować się musi na takie a nie inne dzieło, nowe i jedyne. Stąd też potrzeba artyście roztropności. Tę określa Maritain jako pewien rodzaj ludzkości (wrażliwości) duchowej na kontakty z materją.

Czystość sztuki. Moralna czystość sztuki polega na jej bezkompromisowej służbie pięknu. Wyrażą się ona w zgodności dzieła z jego środkami i celem. Wszystko, co przeszkadza tej zgodności, jest — brzydkie. Przeciwne czystej sztuce jest wszystko to, co kłamie, jest tandetą, jest zbyteczne, jest paradą. Dlatego Maritain jak najostrzej potępia naturalizm, ten bowiem chce nas wprowadzić w błąd iluzją natury w dziele. Natomiast kierunki świadomie deformacyjne i konstruktywne (np. kubizm) cieszą się uznaniem Maritaina, który widzi w nich wysiłek w kierunku związłości logicznej, prostoty i czystości środków. Oczywiście, sztuka musi korzystać z natury. Elementy materjalne nie są jednak rzeczami sztuki, ale tylko środkami (znakami), poprzez które przenikać ma dominująca i całkowita jasność formy.

Składniki naturalne, będąc dźwigaczami światła formy, nie są jednak alegorjami. Maritain jest wrogiem sztuki symbolicznej, której znaki materjalne są zagadkami. Jeśli przedtem protestował przeciw kopjowaniu pozorów natury, tak teraz protestuje przeciw przedstawianiu „ideałów“ w sztuce. Istota sztuki przejawia się w przebudowie związków naturalnych, w ramach struktur zaczerpniętych ze świata duszy, albo z niezmiernego skarbca rzeczy stworzonych. Ostateczna konkluzja Maritaina brzmi: „Sztuka jest zdolnością tworzenia (bezwątpienia nie ex nihilo, lecz z materji już istniejącej) nowego stworzenia, istoty oryginalnej, zdolnej skolei wzruszyć duszę ludzką“. Stąd dostojeństwo artysty. Staje się on kontynuatorem Boga. Wypaczeniem czystej sztuki jest: a) niewolniczy naturalizm, b) manjeryzm techniki, c) dydaktyzm, d) sprowadzenie jej do narzędzia łaskotania zmysłów. Nie oznacza czystość sztuki ani odosabniania się artysty, ani unikania przez niego określonych idei i treści.

Strona socjalna w sztuce. Zagadnienie to omawia Maritain na przykładzie problemu sztuki chrześcijańskiej, da się ono jednak uogólnić, np. na problem sztuki proletarjackiej, narodowej itd. Pojęcie „sztuki chrześcijańskiej“ nie daje się określić ani tematem, ani zastosowaniem, ani tendencją dzieła sztuki, ale jedynie i wyłącznie strukturą duchową artystów. „Jeśli chcecie stworzyć dzieło chrześcijańskie, nie starajcie się je „robić po chrześcijańsku“ — ale bądźcie chrześcijanami“. Niema techniki, stylu, prawideł chrześcijańskich. Są tylko formy - zależne od czasu.

Jakkolwiek dzieło sztuki ma swe immanentne cele, staje się ono z chwilą swego zaistnienia składnikiem rzeczywistości ludzkiej i jako takie oceniane być może jako środek (z punktu widzenia religji, moralności, społeczności). Tą funkcją może być obdarzone dzieło już w intencji tworzącego je artysty, ale nie ta intencja stanowi o niem jako dziele sztuki. Stąd Maritain rozróżnia skrupulatnie: cel artysty (finis operantis) i cel dzieła (finis operis).

Ponieważ przedmiotem sztuki jest dusza, a ta określona jest społecznie, więc przez swój przedmiot i swe korzenie sztuka należy do określonego czasu i kraju. Dlatego to dzieła najbardziej uniwersalne i najbardziej ludzkie mają najwyraźniejszy znak swej ojczyzny. Maritain kończy tę sprawę taką aktualną uwagą: „Stąd silne przywiązanie polityczne i terytorjalne do narodu jest naturalnym stróżem właściwego i prawdziwego życia, a więc uniwersalności inteligencji i sztuki — podczas gdy kult metafizyczny i religijny narodu, któryby usiłował poddać inteligencję fizjologji rasy lub interesom państwa, byłby śmiertelnem niebezpieczeństwem dla sztuki i wszelkiej cnoty ducha“.

Nie wdając się w bliższe omówienie wywodów Maritaina ani w polemikę z niemi i poprzestając tylko na streszczeniu, usuwającem zbędną dla nas terminologję scholastyczną i pomijającem specjalne tendencje autora — uczynić wypadnie kilka ogólnych spostrzeżeń.

Maritain jest filozofem katolickim, ale to co mówi o sztuce, nie jest (i nie może być nawet z jego własnego punktu widzenia) katolickie ani niekatolickie. Założenia, cele i atmosfera wywodów są wybitnie religijne, sam jednak system estetyczny nie jest z niemi adekwatny i ma charakter naukowy i uniwersalny. Dlatego Maritain nie powinien pozostać tylko dla katolików, tem bardziej zaś dla jakiegoś bractwa „katolickich“ poetów. Byłoby to zresztą dalekie od intencji samego autora.

Estetyczne rozważania Maritaina nie są rewelacją ani objawieniem, zawierają jednak dużo słusznych uwag, wykazują wiele dobrej woli, odznaczają się precyzją w formułowaniu sądów i wniosków, dużą wiedzą i kulturą, wrażliwością na sprawy sztuki. Ująć musi jego pozytywny stosunek do najbardziej współczesnych koncepcyj sztuki, które przecie powstawały bez kontaktu z światopoglądem katolickim. Książka Maritaina usiana jest cytatami z wielu wybitnych nowoczesnych artystów, jak Delacroix, Nietzsche, Cézanne, Cocteau, Reverdy i w. i. Wynika, że rodowodem estetyki Maritaina nie jest wyłącznie św. Tomasz, ale cała kulturalna tradycja sztuki europejskiej obejmująca organicznie również i okres średniowiecza. Stąd estetyka Maritaina nie jest galwanizowaniem trupa scholastyki, ale jedynie trochę dziwacznem nazywaniem w jej języku realnego stanu rzeczy istniejącego w umysłowości i sztuce francuskiej. Dlatego łatwo go spowrotem — odtłumaczyć.

Przeszczepienie Maritaina na grunt polski wydaje mi się rzeczą pożyteczną, zwłaszcza w chwili, kiedy choruje się na wszelkie naturalizmy, irracjonalizmy, „niepokoje o

HENRYK KORA

Kryzys szkoły burżuazyjnej

Jest chyba bezsporne, że szkoła dzisiejsza, chcąc skutecznie nauczać i wychowywać, musi zachowywać **ciągłość** w rozwoju dziecka, musi dbać o to, by życie szkoły i jej wychowanie wyrastały organicznie z życia społecznego dziecka poza szkołą, z życia domu rodzinnego i środowiska społecznego, w którem dziecko nabywa pierwszych nawyknień moralnych, pierwszych wiadomości i pierwszych zainteresowań. Życie społeczne dziecka, życie jego macierzystego środowiska społecznego czyli jego klasy społecznej, warunki ekonomiczne, polityczne i kulturalne, w których ta klasa żyje, **oto niewątpliwie jedyna trwała podstawa ogniskująca i wiążąca wszystkie elementy w kształceniu i nauczaniu.** Trzeba przecież, żeby dziecko mogło odczuć i zrozumieć, że **materjał nauczania, który ma opanować, jest istotnie mu potrzebny, wiedza zdobywana przezeń wyjaśnia mu rzeczywiście jego miejsce w świecie i społeczeństwie, że tłumaczy mu, dlaczego żyją tak a nie inaczej (i jak mogą żyć) jego rodzice, jego krewni, jego otoczenie sąsiedzkie, jego klasa społeczna, a razem z nią i jego naród. Jeśli w świadomości dziecka wiedza ludzka i całość dziedzictwa kulturalnego skojarzą się przyczynowo z żywotnemi interesami jego życia społecznego i jego rodzinnego środowiska, jeśli staną się narzędziem walki o lepsze, piękniejsze i pełniejsze życie, wówczas te przedmioty do opanowania i te cele do osiągnięcia, które stawia przed dzieckiem nauczanie szkolne, wchodzą w orbitę samorodnych zainteresowań dziecka, stają się czemś, co wyzwala i wzbogaca twórcze instynkty, co budzi ciekawość, co bierze udział w toku życia,** co „układa się i splata z tym rojem potrzeb, pragnień i zainteresowań, który stanowi duszę dziecka".

Jeśli zaś niema związku pomiędzy doświadczeniem społecznem dziecka a materjałem nauczania, wówczas następuje śmierć samorodnych zainteresowań dziecka, wówczas trzeba albo narzucać ten materjał przymusem, odwołując się do zdolności czynienia wysiłków, które są już niczem innem, jak tylko wstrętną, niecelową pańszczyzną, **albo też czynić przedmiot nauczania zajmującym, odwołując się do sztucznych podniet**, do sztucznego zewnętrznego drażnienia uwagi dziecka.

Nauka pod przymusem jest jednak nieskuteczna i demoralizująca. Strach przed nauczycielem, albo nadzieja nagrody to tylko nędzna namiastka normalnego, samorodnego zainteresowania się przedmiotem nauki. Strumień energji psychicznej tylko w nikłym odprysku zostaje związany procesem uczenia się. Tyle właśnie, ile trzeba na to, by zaspokoić wymagania nauczyciela, by udawać, że się jest zajętym. Niema tu już żmudnej wewnętrznej pracy nad inżynierowaniem własnej duszy, niema dyscypliny wewnętrznej, zdolności panowania nad sobą. Niema tych trwałych nawyknień moralnych, które można zdobyć nie przez wmawianie i ascetyczne ćwiczenia, oderwane od konkretnych warunków życia społecznego ale przez sytuacje życiowe, w których dziecko działa z własnej inicjatywy i zdobywa się na świadomy, dobrowolny wysiłek woli, bo odczuwa mus wewnętrzny i sens życiowy swej pracy. Są tylko nawyknienia mechaniczne, jest tresura wyłącznie zewnętrzna a obok tego jest sztuka maskowania się i oszukiwania, sztuka ukrywania się z tem, co jest niedozwolone. Bujny potok życia dziecięcego toczy się poza szkołą, poza nauką, w ławce zaś szkolnej siedzi dziecko przygasłe, zmechanizowane i ociężałe, siedzi dziecko bierne i zanudzone, dziecko, które już tylko słucha, kuje i recytuje, ale nie żyje.

*

I nic nie pomaga przerzucanie się od przymusu do egzaltowanego liberalizmu wychowawczego starych panien i sentymentalnych matek z plutokracji. Cackanie się z dzieckiem, ocukrzanie nudnej w zasadzie nauki podniecającemi rozrywkowemi ornamentami, sztuczne budzenie zainteresowań nie rozwiązują istoty zagadnienia. Lewatywa z miodu czy nawet nektaru ambrozyjskiego nie zastąpi normalnego sposobu odżywiania się, pozatem zaś podniecanie dziecka, podniecanie jego zmysłów i osiągnięte przez to napięcie nerwowe, jest szkodliwe i demoralizujące, jeśli nie wypływa z samorzutnego zainteresowania się przedmiotem. Sztuczne podniety, które mają ułatwić kontrabandę nudnej i martwej życiowo wiedzy, działają w rezultacie tak jak morfina, jak każdy narkotyk. Stany chwilowego podniecenia pociągają za sobą coraz głębsze stany apatji i wyczerpania nerwowego. Dziecko wymaga coraz większego efekciarstwa, coraz mocniejszych podniet. Energja psychiczna rozprasza się i wyżywa w epatujących drobiazgach. Wszystkie wymyślone przez psychologów przystawki pedagogiczne, które mają osłodzić przełknięcie nudnej porcji wiedzy, są oczywiście zjadane łapczywie ale sama porcja pozostaje nietknięta. Dziecko przyzwyczaja się robić tylko to, co je zewnętrznie wabi, bawi i drażni emocjonalnie. I znów zamiast dziecka, któreby się czuło wciągnięte, podbite i ogarnięte całkowicie przez proces nauczania, przez pracę nad przyswajaniem kultury, siedzi w ławce szkolnej mały rozpieszczony snob, siedzi mały dyletant, rozmiłowany w sensacji, demagogji i tandetnym kiczu, siedzi dziecko rozleniwione, rozgrymaszone i rozgadane ale mało umiejące i ubogie charakterem.

Pedagogika burżuazyjna nie może wybrnąć z tego ślepego zaułka, w który zaszła. Albo tresura i przymus, albo efekciarstwo i sztuczne podniety, zawsze zaś gwałt psychiczny nad dzieckiem, zawsze kaleczenie jego życia psychicznego, zawsze tłumienie twórczych instynktów i sił, zawsze olbrzymie marnotrawstwo energji psychicznej, która niezużyta w społecznie zorganizowanej pracy nad przyswajaniem dziedzictwa kulturalnego narodu i ludzkości wylewa się na ulicę, na podwórko, wyładowuje się w nieprodukcyjnych i aspołecznych formach rynsztokowej zabawy i łobuzerstwa i niszczeje tak samo jak siły wytwórcze gospodarstwa narodowego marnotrawione anarchją produkcji kapitalistycznej, zgłuszone w swym rozwoju prywatnym monopolem ekonomicznym na środki produkcji, pustoszone cyklicznie wracającą nadprodukcją i towarzyszącą jej nędzą i bezrobociem mas pracujących. **Zawsze natomiast dla szkoły burżuazyjnej, wychowującej dzieci robotnicze i chłopskie niedostępny pozostaje taki system wychowania, przy którymby dzieci odczuwały i przeżywały nauke jako ich własne zagadnienia, wyrastające z ich własnych popędów i pojęć, z ich własnych mocowań się o uświadomienie samych siebie, o znalezienie sobie miejsca pod słońcem, o zwycięskie opanowanie wrogich im żywiołów przyrody i społeczeństwa, o pełne wyrażenie i rozwinięcie własnych sił i sił swego macierzystego środowiska społecznego. Między szkołą burżuazyjną i olbrzymią, z ludu rekrutującą się większością dzieci niema głębszych więzi duchowych, niema stapiania się we wspólnocie przeżyć i dążeń.** Ilekroć szkoła burżuazyjna chce być miejscem radosnej i twórczej pracy, ilekroć chce być przyjacielem dzieci, tylekroć utyka w jakiś mur nieprzebyty, tylekroć rozbija się o jakiś uparty sabotaż dziecka robotniczego i chłopskiego. Źródło tego sabotażu tkwi w funkcji społecznej szkoły burżuazyjnej. Jej punktem wyjścia i celem nie jest dziecko i jego rozrost psychofizyczny. Jej celem jest odtwarzanie istniejącego ustroju społecznego w młodych pokoleniach, odtwarzanie i uwiecznienie tej krzywdy dziecka, jaką jest cały ten świat przemocy i wyzysku, świat, w którym wszystko co ludzkie jest zagłuszone i wystawione na sprzedaż, gdzie człowiek człowiekowi jest wilkiem, jedynem zaś żywotnem zainteresowaniem jest zysk i walka o środki produkcji jako narzędzia przywłaszczania cudzej pracy, ten świat, w którym niema społecznej miłości dla dziecka, jest tylko cyniczny handel żywym towarem.

Szkoła burżuazyjna pozostawia dziecko robotnicze i chłopskie w jego macierzystem środowisku społecznem, nie awansuje go z reguły w hierarchji społecznej, stara się o ideologiczne oderwanie go od rodzimej klasy społecznej, o zasymilowanie go z istniejącym ustrojem społecznym. Szkoła burżuazyjna narzuca więc dziecku te wyobrażenia o świecie i społeczeństwie, które wyrosły w klasie panującej i które usprawiedliwiają i uwieczniają jej monopole ekonomiczne i polityczne, jej pozycje historyczne, jej tryb życia i stosunek do klas wyzyskiwanych. Pokazać świat i społeczeństwo, ale tylko tak jak one przełamują się w oczach kapitalisty, przemysłowca, obszarnika lub wysokiego dygnitarza; zapoznać z dziedzictwem kulturalnem, z wiedzą, techniką i sztuką, ale tylko w tym zakresie i w takim powiązaniu przyczynowem, w jakiem dziedzictwo to jest potrzebne dla funkcjonowania ustroju kapitalistycznego. Takie są zadania szkoły burżuazyjnej, ale taka nauka jest nieubłaganie sprzeczna z codziennem doświadczeniem społecznem dziecka robotniczego, z tem, co to dziecko przeżywa, widzi i słyszy w swem otoczeniu. Wchodząc do szkoły i chcąc skupić uwagę na jej nauczaniu, musi dziecko robotnicze wyrzucić ze swej świadomości wszystkie piekące problemy swej klasy społecznej i swego najbliższego otoczenia. Ale odrzucając doświadczenie społeczne dziecka, odrzuca się też jedyną pożywkę, na której wyrosnąć może samorodne zainteresowanie i samorodny wysiłek. Wiedza o świecie i społeczeństwie staje się dla dziecka obca, niezrozumiała i nieużyteczna, zaś moralność wszczepiona mu jest papierowa, wymędrkowana i blagierska. W rezultacie szkoła burżuazyjna przyswaja dzieciom pewne sprawności techniczne, utrwala też w ich pamięci pewien zapas wiadomości ale ten zapas jest martwym kapitałem, jego zdobywanie dokonywa się kosztem skrępowania i tłumienia życia dziecka. I mimo wszelkie próby reformatorskie przeciętna szkoła burżuazyjna jest dla dzieci robotniczych i chłopskich ciągle tą samą szkołą, o której wielki pedagog Claparede pisał, że „opycha ona dzieci całą masą wiadomości, nie troszcząc się o to, że dzieci nie widzą, aby wiadomości te mogły im kiedykolwiek ułatwić działanie, zmusza je do słuchania, choć nie pragną słyszeć, każe im mówić, pisać, redagować, komponować wtedy, gdy nie mają nic do powiedzenia, każe im obserwować, choć nie czują potemu żadnej uprzedniej ciekawości, zmusza je do rozumowania, kiedy im ani w głowie cokolwiek odkrywać, przynagla je do podejmowania wysiłków, o których wyobraża sobie, że są „dowolne", nie osiągnąwszy przedtem przyzwolenia ze strony „ja" dzieci na ten narzucany im obowiązek, nie mając za sobą tej ich zgody wewnętrznej, która sama jedna tylko mogłaby nadać spodziewaną wartość moralną ich uległemu spełnianiu powinności".

Surowe oceny Claparede są ciągle aktualne. Mało znalazłoby się dzieci robotniczych i chłopskich, któreby zaprzeczyły słowom Claparede. I chyba jest tylko jedno gimnazjum w Polsce, gdzieby te słowa spotkały się z jednomyślnym namiętnym protestem, gdziebyśmy z ust dzieci robotniczych dowiedzieli się, że szkoła jest ich prawdziwym przyjacielem, jest ich własną formą życia społecznego i ich własnym warsztatem zbiorowej pracy nad przyswajaniem sobie kultury i wiedzy. Tą szkołą jest gimnazjum prowadzone przez Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, gimnazjum im. B. Limanowskiego na Żoliborzu w Warszawie. Sekret wychowawczych i dydaktycznych sukcesów tej szkoły tkwi w dużej mierze w tem, że doświadczenie społeczne dziecka robotniczego, że te czyny, myśli, cierpienia i namiętności, te walki i klęski i zwycięstwa, w których zatopione jest życie dziecka robotniczego i które w całości stanowią potężny nurt życia społecznego klasy robotniczej, że więc to samorzutne działanie wychowawcze środowiska, które otacza szkołę R. T. P. D. i stanowi jej bazę rekrutacyjną, nie jest w sprzeczności z materjałem nauczania i działaniem wychowawczem tej szkoły, że sala szkolna nie jest tu miejscem krzyżowania się dwóch sprzecznych ze sobą systemów wychowawczych i dwóch wrogich sobie ideologij, lecz miejscem organicznej współpracy i wzajemnego uzupełniania się szkoły i środowiska społecznego jej dzieci.

Szkoła R. T. P. D. nie wyszukuje żadnych nadzwyczajnych wybiegów ani podstępów metodologicznych, mających naukę uczynić interesującą. Ona sama taką się staje, z chwilą, gdy istotnie rozszerza i pogłębia społeczną świadomość dzieci, gdy im ułatwia przyszły rozwój w łonie swej klasy społecznej, gdy zwiększa zdolność odbierania i organizowania wrażeń i wzruszeń czerpanych z otoczenia społecznego, gdy wprowadza ład w chaotyczne i powierzchowne doświadczenia dziecka, gdy je streszcza i uogólnia, gdy ułatwia i zapładnia przyszłe doświadczenia. Jedyny więc „wybieg" gimnazjum R. T. P. D. polega na tem, że zbliża ono program nauczania do życia klasy robotniczej i że uchyla się od wszelkiej propagandy, zwłaszcza od takiej, któraby była sprzeczna z oddziaływaniem wychowawczem otoczenia społecznego szkoły i któraby nie znajdowała pokrycia w tej rzeczywistości społecznej, w jakiej żyją dzieci robotnicze. Szkoła R. T. P. D. nie narzuca się więc z jakiemś abstrakcyjnem moralizowaniem, lecz pogłębia i rozszerza te nawyknienia moralne, które zostają wdrożone dziecku w tym klimacie życia gromadzkiego, jaki wytwarza klasa robotnicza i jej organizacje socjalistyczne, zwłaszcza zaś ruch spółdzielczości robotniczej znajdującej swój wyraz w całym kompleksie organizacyj i instytucyj istniejących na Żoliborzu przy Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

---

ogromnej godności", ferdydurkizmy itp. Estetyka Maritaina napewno zbyt absolutną i przeintelektualizowana przeciwstawia się tym rzeczom skutecznie. Maritain jest właśnie za rozumem, za konstrukcją, za dyscypliną, za dojrzałością i wynalazczością. Kilka zagadnień postawionych jest doskonale. Za takie uważam: sprawę udziału czynnika racjonalnego w sztuce, problem osobowości autora, czystości i autonomji sztuki, podkreślenie obowiązku odnowy środków ekspresji, zagadnienie moralności, narodowości i humanizmu w sztuce. Z tego powodu wątpliwe jest, aby Maritain dogadzał naszym monopolistom katolickim, stawiającym na Bąka, Pietrkiewicza czy Gałczyńskiego. Nie dorosną oni do niego, jak nie dorośli do Norwida, naszego własnego Maritaina, wcześniejszego o 80 lat i bodajże głębszego. U Norwida praktykowali wyłącznie pisarze lewicowi.

Z okazji Maritaina spotkaćby się mogli estetycy wszystkich obozów, którym sprawy kultury naprawdę leżą na sercu, którzy chcieliby przeprowadzić przez bagnisty teren naszych polemik literackich jakąś ugruntowaną drogę. Rzeczowość, szczery humanizm i duży autorytet pisarza mógłby być rękojmią, że rozmowa będzie poważna.

Ignacy Fik

SPRAWY SPOŁECZNE

Dr. Józef Macko. Nierząd jako choroba społeczna. Warszawa, Polski Komitet Walki z Handlem Kobietami i Dziećmi, 1938; str. 8 nl. i 278 i 2 nl.

Zniesienie reglamentacji nierządu i wprowadzenie konsekwentnego abolicjonizmu napotykało wszędzie na różnorakie przeszkody, płynące bądź z oportunizmu bądź z uprzedzeń i przesądów etyczno-społecznych. Przeszkody te istnieją jeszcze i dziś. Wszelako coraz powszechniejsze staje się mniemanie o szkodliwości zalegalizowanej prostytucji, która ciągnie za sobą łańcuch takich zjawisk, jak handel żywym towarem, ciągnienie zysków z okropnego „zawodu" przez osoby trzecie, demoralizacja młodzieży, parodja profilaktyki antywenerycznej i t. d.

Stwierdzono, że rejestracja prostytutek nie spełniła swego zadania głównie dlatego, że nie obejmuje więcej ponad 10% osób, oddających się nierządowi. System więc reglamentacyjny jest nie tylko bezużyteczny, lecz wprowadza w błąd społeczeństwo i zmusza całe legjony tajnej prostytucji do ukrywania się oraz uchylania się od leczenia w obawie przed rejestracją i jej konsekwencjami. T. zw. neoreglamentacja, istniejąca w Polsce po dziś dzień, polegająca na zniesieniu domów publicznych i zamianie rejestracji policyjnej na lekarską, nie wyeliminowała praktycznie żadnej z okropnych stron dawnego systemu. Na szczęście, projekty ustaw o zwalczaniu chorób wenerycznych i o zwalczaniu nierządu stoją już na gruncie pełnego abolicjonizmu. Zresztą prawie wszystkie państwa, które jeszcze stosują reglamentację, pracują obecnie nad wprowadzeniem systemu abolicjonistycznego. Tam zaś, gdzie system ten wprowadzono już dawniej (Szwecja, Norwegja, Danja, Niemcy, Czechosłowacja, Z. S. R. R., Holandja, Szwajcarja), zbiera się już dodatnie owoce w postaci choćby zmniejszonej ilości zarażeń wenerycznych.

Książka Macki budzi pewien optymizm. Sumując bowiem wyniki akcji zwalczania nierządu, należy stwierdzić, że jeden z najgłówniejszych czynników prostytucji t. j. handel żywym towarem znajduje się w stadjum likwidacji. Cały świat, wszystkie wyznania i rasy potępiły ten haniebny proceder. Najpoważniejszy efekt dała na tym odcinku praca Komisji Spraw Społecznych Ligi Narodów — i to w ciągu ostatniego lat dziesiątka.

Dr. Macko potraktował swój temat bez naukowych pretensyj, prosto i przystępnie. Widać jednak, że orjentuje się w nim bardzo dobrze. Cennemi dodatkami książki są projekty ustaw polskich i bibljografja.

J. Augustowski — J. Lipowiecki. Kryzys ustrojowy. Poznań, Związek Młodzieży Pracującej „Jedność", 1938; str. 58 i 2 nl.

Broszurka zawiera cztery artykuły J. Augustowskiego i jeden J. Lipowieckiego. Tematy: kryzys ustrojowy, patrjotyzm i demokratyzm a nacjonalizm i autokratyzm, absolutyzm i liberalizm, elitaryzm a demokracja, lewicowi przeciwnicy demokracji. Poziom — wypracowań szkolnych. I zadziwiająca wiara w wartość własnych wypowiedzi. Wbrew opinji autorów nie można bowiem zaliczyć ich artykulików do „poważnej publicystyki" (str. 35), ani przyznać, że operują „pełnym powagi i naukowej ścisłości (sic!) sposobem ujęcia zagadnień" (str. 4). Przeciwnie: takie koncepcyjki, jak np. J. Augustowskiego o wyborze izby wyższej (w parlamencie) przez izbę niższą, tchną mimowolnym komizmem. Nadto czołowy (zdaje się) publicysta „Demokraty" zdradza razporaz antydemokratyczne inklinacje. Np. dla uchwalenia projektu ustawy, odrzuconego przez izbę wyższą, chciałby uzyskania przez nią większości 2/3 głosów w izbie niższej przy ponownem rozpatrywaniu projektu. Także stosunek J. Augustowskiego do sprawy narodowościowej w Małopolsce Wschodniej posiada wyraźnie nacjonalistyczne zabarwienie — pomimo że autor „zasadniczo" nacjonalizm odrzuca. Najbardziej naiwne są pouczenia J. Augustowskiego pod adresem panującego régime'u. Oczywiście, jeśli nie wziąć pod uwagę ogólno-teoretycznych wypowiedzi, np. na temat dyktatury proletarjatu. Dyktatura ta ma być niemożliwa, ponieważ „niema powodu przypuszczać, aby wszędzie proletarjat stanowić miał albo absolutną większość ludności, albo mniejszość, ale tak poważną i skoncentrowaną, że będzie mogła opanować większość" (str. 56).

Prywatne poglądy J. Augustowskiego nikogo nie obchodzą. Zajęliśmy się niemi ze względu na nakładcę, którym jest, bądźcobądź, jedna z organizacyj młodzieży.

Zygmunt Jarosz

JAN KOPROWSKI

N O C

Noc: to skrzydła jaskółcze na chmurach.
To splecione drzew gałęzie.
To zastygłe w locie pióra.
Noc: to więzień.

Noc: to dzbany blade i puste,
To gwiazd upojne brzemię,
To drzwi uchylone jak usta.
Noc: to ziemia.

NOWOŚCI POETYCKIE

Tadeusz Hołuj. Płonące ścieżki. Kraków. Klub Młodych Artystów (1938). Przedmowa Michała Chmielowca; str. 47 i 1 nl.

Drugi tom Tadeusza Hołuja poprzedza przedmowa utalentowanego krytyka Michała Chmielowca, przedmowa do niczego nie zobowiązująca, a mogąca być z powodzeniem umieszczona w każdej książce początkującego poety. „Ale awangardę spłycono" — pisze Chmielowiec — „Jeżeli kiedy to teraz można mówić o kryzysie poezji". Zdania te mogą się odnosić w pewnej mierze do gatunku poetyckiego Hołuja, zawierającego wiele „izmów". Najbliższy jest jednak Hołuj autentyzmu, potraktowanego jako pewną aura doznań, a nie jako kierunek formalny. W pokaźnym ilościowo tomie zaznajamia się czytający z przeżyciami poety, ujętemi cyklicznie, przyczem najciekawszy jest cykl początkowy „Utraty". Droga utrat, na której znaczą się posępnie śmierć ojca, śmierć matki, stosowane z pewną tendencją przez autora w prozaicznych często odnośnikach, wreszcie kwintesencja lirycznych poszukiwań: „Ziemia jest szeptem utrat". Ciekawa koncepcja tego, swego rodzaju, poematu tu nie wytrzymała schematów formalnych i rozpłynęła się w luźnych, fragmentarycznych odniesieniach. Jeżeli chodzi o stronę koncepcjonalną, to jest to bezwątpienia najciekawsza strona twórczości Hołuja, w dwóch zaś „Opowiadaniach prozaicznych" (m. in. o koniokradzie, który ubijał targu z niebem, aż „sypnęło się złoto krągłe z niebieskiego rękawa"), wybitnie fantazjotwórczych i transponowanych na grunt pseudorealny, osiąga Hołuj pozytywne rezultaty.

Gorzej przedstawia się tom, jeżeli chodzi o stronę społeczną, gdzie występuje najwyraźniej nieskoordynowanie autora, a humanizmowi chrześcijańskiemu (pacyfistyczny wiersz „8 miljonów 600") przeczy antykulturalny nacjonalizm w wierszu „Do żydowskich poetów": „Wy piszecie spermą i szyderstwa śliną wiersze dalekie od ludzi", „Ramionami słów i wierszy wyrzucimy obcych, niepotrzebnych kuglarzy. My jesteśmy stąd. Wasze słowa znikąd. Nie będziecie wierszom gospodarzyć". Oczywiście, apodyktyczne potępienie nie byłoby może wskazane, biorąc pod uwagę to, co pisał w swojej przedmowie Chmielowiec, że Hołuj należy do n a j m ł o d s z e j generacji poetyckiej. Wina to może nieustabilizowania wewnętrznego, które nadejdzie wraz z dojrzałością, a przecież na przestrzeni tomu przeważa raczej ów ton „humanizmu", z którego sobie autor jeszcze niedokładnie zdaje sprawę.

Interesujący jest w tym tomie proces przełamywania prymitywu, walka z oporami formalnemi, prowadząca ścieżkami ekspresjonizmu, futuryzmu, peiperyzmu i t. d. Niecelność rzutów poetyckich i niepewność — też chyba należy tłumaczyć wiekiem autora. „Budzi się ochota na nową poezję. Zbiór Hołuja szuka sobie miejsca w tej plątaninie ścieżek..." — kończy swą przedmowę Chmielowiec. Ale jeżeli Hołuj nie odniesie się bardziej krytycznie i nie przeprowadzi większej selekcji w stosunku do swoich poetyczno - społecznych odniesień, będzie ciągle s z u k a ł miejsca a o n o w e j poezji nie będzie napewno mowy.

Jan Huszcza. Ballada o podróżnych. Wilno, Związek Zawodowy Literatów Polskich; str. 24 i 4 nl.

Tonem dominującym w tomie debjutowym młodego poety wileńskiego jest ton kameralny, subtelne stłumienie lirycznych doznań, nie przekraczających w dużej mierze sfery autentycznych przeżyć. Nawet w tych wierszach, gdzie autor przeciwstawia nominalnie fabułę fantazjotwórczą (np. w wierszu „Opowieść o nocy") dominują momenty autentyczne, krajobrazowe, mimo widocznych zniekształceń i delikatnych deformacyj metaforycznych. Owa szczególna i subtelna aura tych wierszy wprowadza czytającego w świat dzieciństwa autora, w łagodny pejzaż o elegijnym wydźwięku, w ulirycowane wspomnienia o ojcu i matce. W fakturze formalnej wierszy Huszczy jest wiele momentów charakterystycznych dla pewnego odłamu młodych poetów, wywodzących się genealogicznie z awangardy. Ciekawe jest jednak, że na wierszach Huszczy nie ciążą wpływy awangardy wileńskiej, ale lubelskiej, zwłaszcza zaś Piętaka. Nie są to wpływy rozprzestrzenione w całym tomie, ale tam, gdzie liryka Huszczy przez swoje momenty narracyjne przekształca się w epos liryczne (np. w wierszu „Wspomnienie"), wyczuwa się pewne pokrewieństwo z Piętakiem; tak samo niektóre przedstawienia obrazowe w krajobrazach lirycznych przypominają czasami Czechowicza. Mimo to uda się wykryć w tych wierszach pewne walory indywidualne i konsekwencję w rozplanowaniu kompozycyjnem tomu, co na tle naszej produkcji poetyckiej, jest zjawiskiem szczególnie pozytywnem. Subtelny wygłos utworów elegijnych Huszczy w zestawieniu z paroma odniesieniami natury społecznej ma charakter łagodnej perswazji lirycznej, jak n. p. w wierszu „Elegja": „Nie ucz mnie matko ze starych śpiewać kantyczek, stare z domu szpargały wyniesiem. Jak nad gniazdem skrzypiec zbudzony smyczek, w drzewach gra jesień". A w wierszu „O ojczyźnie": „gasną oczy tęskniącym zecerom, wilcze oczy wśród śnieżnych zasp — więzieniom twoim nigdy nie zbraknie żeru". W konieczności przemijania dostrzega poeta piękno („Wieczór z ojcem"), mimo że zwycięstwa i klęski, odjazdy i przyjazdy są „poto, żeby garść popiołu — —". Ale w końcowych utworach tomu dominujący początkowo ton zaostrza się: „Teraz mi witać wrześniowy poranek, drżeć o chwilę tę groźną, w której oczy matki nade mną przystaną, a ja nie potrafię ich poznać". Debjut młodego poety wileńskiego jest niewątpliwie pozycją pozytywną, należy tylko śledzić z zainteresowaniem, dokąd zawiedzie autora „Ballada o podróżnych" — „na obszarze, który nie ma brzegów".

Józef Nacht. Sondy. Lwów, Żydowskie Towarzystwo Artystyczno - Literackie, 1938; str. 23 i 1 nl.

W porównaniu z pierwszym tomem Nachta („Podział godzin"), drugi tom jest o tyle pozycją lepszą, że autor doprowadził stronę wersyfikacyjną utworów do swego rodzaju perfekcji. Natomiast to wszystko, co składa się na substancję integralną poezji pozostało bez zmiany w stanie nieokiełznania i dekompozycji. Wina to może szkoły poetyckiej, z której się Nacht wywodzi. Stąd budowanie wiersza na efekciarskich pointe'ach, werbalizm, ekwilibrystyka słowna, prowadząca w swem zamierzeniu do przechytrzonego kalamburu poetyckiego lub do aliteracyj.

Tom dzieli się na dwie części: erotyki i satyry. W części pierwszej czytamy wiersze, pozostające w dużej mierze pod auspicjami Tuwima, sharmonizowane w pewnej mierze zewnętrznie. Czasem spotykamy trafny i prawdziwie poetycki obraz, który jednak niknie w nawale czczej ekwilibrystyki i poetycznego określania truizmów. Wiersze te, mimo pewnych pozorów, są bardzo młodzieńcze i charakterystyczne dla tego typu epigonów poskamandryckich: a więc mówienie wierszem o wierszu, dążenie do łatwych efektów przez superlatyw przymiotnikowy tam, gdzie obraz i przenośnia zawodzi, a gdzie zostaje niezbędne miejsce do wypełnienia w toku metrycznym wiersza. Uzdolniony autor lwowski nie zdaje sobie widocznie sprawy, że kultura poetycka to nie tylko zdolność wersyfikacyjna, ale i umiejętność p o e t y c k i e g o transformowania doznań.

Część druga tomu, zawierająca miejscami dowcipne wierszyki satyryczne potwierdza to, co pisałem o pierwszej części: dużą zdolność wersyfikacyjną, inklinację do kalamburu, pojętego raczej powierzchownie i brak samokrytycyzmu. Kalambur u Nachta jest często celem, nie zaś środkiem wypowiedzi satyrycznej, co stanowi, być może, przyjemną dla ucha igraszkę słowną, ale nie może być stosowane na dłuższą metę.

Jerzy Kamil Weintraub

Skonfiskowano

Śląsk, Czechosłowacja, Żydzi i demokracja

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. VIII. Marek St. Korowicz. Górnośląska ochrona mniejszości 1922—1937 na tle stosunków narodowościowych. Z 3 mapami. Katowice, 1938; str. 259 i 5 nl.

Jak wiadomo, z dniem 15 lipca ub. roku upłynęło piętnastolecie mocy obowiązującej t. zw. Konwencji Genewskiej (górnośląskiej). Korowicz poświęcił swe studjum tej części Konwencji, która dotyczyła ochrony mniejszości na Górnym Śląsku. Zagadnienie, podjęte przez siebie, ujął jednak autor nie tylko wyczerpująco, ale i szeroko, rzucając je na rozległe tło stosunków narodowościowych. A te stosunki polsko-niemieckie na Górnym Śląsku są przecież problemem tyleż doniosłym, co skomplikowanym, brzemiennym odwieczną a wciąż aktualną walką.

Korowicz sięgnął przedewszystkiem do źródeł przeciwnika. Stwierdził, że doktryna niemiecka po wojnie uznaje język ojczysty niemiecki za odpowiednik narodowości niemieckiej, lecz języka polskiego na Górnym Śląsku nie uważa za cechę polskości. Wykazał, jak zapatrywania autorów niemieckich po wojnie są sprzeczne z przedwojennemi w przedstawianiu stosunków narodowościowych Górnego Śląska. Zarejestrował wreszcie charakterystyczne rozbieżności w tej mierze i wśród samych autorów powojennych (pracujących nawet pod egidą tych samych instytucyj naukowych lub władz państwowych!). I tak np. Ilse Schwidetzky, pisząc o wynikach wyborów przedwojennych, które dały znaczną ilość głosów Polakom, stwierdza, że nie mogą one być uznane za wyraz narodowego samookreślenia się wyborców. Dr. Ewers, omawiając niepomyślne dla kandydatów polskich wybory powojenne, traktuje je jako takie właśnie samookreślenie. Dr. Küster i dr. Rathenau głoszą wielkie niebezpieczeństwo dla Rzeszy ze strony zorganizowanego elementu polskiego na Śląsku Opolskim. Zaś dr. Nicolai i dr. Fischer są zdania, że mniejszości polskiej na Śląsku Opolskim prawie już niema, wkrótce zaś nie będzie i jej śladu...

„Sam führer" oświadczył autorytatywnie, że nie życzy sobie germanizacji obcych nazwisk. Tymczasem zaś na Śląsku Opolskim wre akcja germanizacyjna polskich nazw miejscowości. Już przed wojną przeprowadzono kilkaset zmian nazw w Poznańskiem i na Śląsku, co w opinji europejskiej wywarło jak najgorsze wrażenie i określone zostało mianem „chrztów pruskich". „Były to jednak — pisze Korowicz — wobec ostatnich zarządzeń na Śląsku Opolskim, niewinne poczynania".

Od połowy r. 1935 zmieniono na Śląsku Opolskim 600 nazw polskich miejscowości na czysto niemieckie. Jednem zarządzeniem nadprezydenta prowincji górnośląskiej z 12. II. 1936 r. przemianowano 64 pozostałych w powiecie toszecko-gliwickim nazw polskich na niemieckie! Dyrekcja okręgu poczty w Opolu zmuszona też była wydać w formacie książkowym specjalny wykaz miejscowości o zmienionych nazwach.

...Od r. 1925 wydaje mniejszość polska, wspólnie z innemi mniejszościami w Niemczech, czasopismo p. t. „Kulturwehr". Opublikowano w niem dziesiątki tysięcy najważniejszych zażaleń, wniesionych do władz niemieckich, oraz ich odpowiedzi. **Zażalenia mniejszości polskiej w czasie od 1 lutego 1935 r. do 31 lipca 1936 r., a zatem tylko w ciągu półtora roku, objęły dwa tomy, liczące 2390 stron.** Obraz ciężkiej sytuacji Polaków w Niemczech, na Śląsku w szczególności!

Całokształt materjału faktycznego, uwzględnionego przez Korowicza, jest nader wymowny i powinien zainteresować nie tylko specjalistów od spraw śląskich.

Pamiętnik Instytutu Śląskiego. VI. Paweł Hulka-Laskowski. Śląsk za Olzą. Z 274 ilustracjami i 2 mapami. Katowice, 1938; str. 493 i 3 nl.

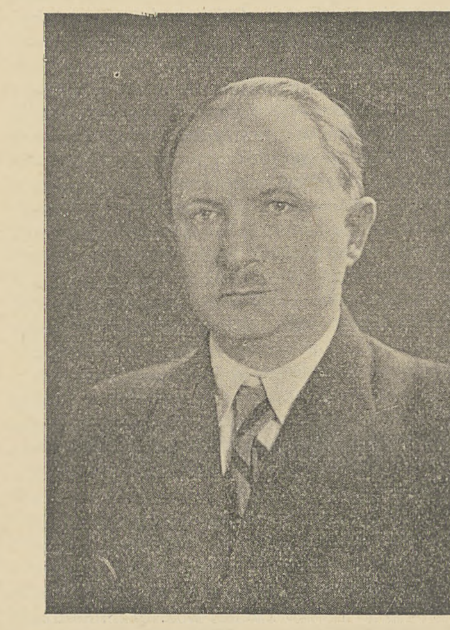
Monografja Hulki-Laskowskiego nasuwa wiele niewesołych refleksyj. Niewesołych dlatego, że trudno podawać w wątpliwość omówione przezeń fakty, jak również najlepszą wolę i objektywizm autora. Ta rzetelna książka jest m. inn. oskarżeniem szowinizmu czeskiego i akcji czechizacyjnej, kontynuowanej przez administrację pobratymczej Republiki. Musi się z nią zapoznać każdy, kto chce wiedzieć prawdę o losie Polaków za Olzą.

Jakich sposobów nie chwyta się zła wola „wybujałego nacjonalizmu"! Ciekawe z socjologicznego punktu widzenia zjawisko stanowi np. teorja t. zw. „Morawców". Stworzyła ona pseudonaukową otoczkę dla szowinistycznych zapędów. „Bez dokładnego poznania teorji spolszczonych Morawców, będącej hasłem i bodźcem forsownej czechizacji Zaolzia, nikt nie zrozumie tego, co się obecnie dzieje w tym niewielkim kraiku. Trzeba odrazu powiedzieć, że teorji morawiectwa nie reprezentują poważni uczeni czescy; ci zawsze przyznawali i przyznają, że Cieszyńskie zamieszkiwał i zamieszkuje szczep polski, że polskość miała tam i ma dotychczas zasadniczą przewagę. Hasło morawiectwa jest ulubionym konikiem publicystów minorum gentium..."

Teorja „morawców" przypomina niemieckie wywody na temat t. zw. „Wasserpolen". Ta ostatnia nazwa oznaczała pierwotnie flisaków śląskich z górnego biegu Odry. Po rozbiorach Polski administracja pruska „odkryła" Kaszubów, Mazurów i „Wasserpolaków", którzy ani między sobą, ani wszyscy razem rzekomo z Wielkopolanami nie mieli nic wspólnego. Zaiste, trudno o lepsze przykłady pozornie naukowego usprawiedliwienia szowinistycznych tendencyj!

Hulka-Laskowski jest nie tylko doskonałym pisarzem, ale i pierwszorzędnym, dociekliwym obserwatorem. Stać go na poważne retrospektywne ujęcie aktualnych zjawisk, stać na szlachetne wzruszenia, stać na niezbędny spokój. Dostrzega nie tylko smutne przejawy czechizacji, ale i pewne tragiczne rezultaty historycznego dziedzictwa.

„...typów o wybitnych cechach zwyrodnienia i infantylizmu, czasem łącznie z niedorozwojem fizycznym, garbatych, pokrzywionych cudacznie ,widuje się tu bardzo dużo... Skąd się ich tu bierze aż tyle? Mówią mi, że to są skutki alkoholizmu całych pokoleń. Czyżby Ślązacy byli takimi pijakami?... Możnaby powiedzieć, że nawet broniło się przed alkoholizmem, ale panowie ślązcy, osobliwie komora cieszyńska, mieli dużo gorzelni i potrzebni im byli odbiorcy wódki. Tym spożywcą wódki musiał być biedny lud śląski, czy chciał czy nie chciał.



Paweł Hulka-Laskowski

Na głowę przypadało tyle a tyle wódki do wypicia i zapłacenia i rady na to nie znajdowano. Powtarzało się tu z wódką to samo, co we Francji było z solą. Tam chłop musiał spożyć tyle a tyle soli rocznie i wymigać się od niej nie mógł.

Ostatecznie sól można było znieść jakoś, ale wódka, pita pod przymusem, to już sprawa gorsza. Te typy zwyrodniałe, których widuje się tu tak wiele, to właśnie ofiary prawa propinacyjnego... Można było wylewać tę truciznę, ale wtedy wierzono, że wódka jest doskonałem pożywieniem, a nawet lekarstwem, więc ją sumiennie pito. Czasem próbowano wyzwolić się z tych pęt nakazanego alkoholizmu i... obalić prawo propinacyjne, ale nie zdało się to na nic. Gdy na początku zeszłego wieku wódka była tak podła, że ludzie chorowali po jej wypiciu, gminy niektóre zwracały się do samego cesarza, aby poddanych swoich uwolnił od przymusowego pijaństwa. Ale cesarz nie odważył się na ten krok rewolucyjny..."

W monografji Hulki-Laskowskiego spotykamy dziesiątki niezmiernie cennych spostrzeżeń, obserwacyj, uwag, charakterystyk, opisów. Dowiadujemy się z niej, np., że słuszna naogół będzie generalizacja: „w Cieszyńskiem co katolik to Czech, co ewangelik to Polak". Dowiadujemy się szczegółów o życiu gospodarczem Zaolzia. Dowiadujemy się, iż wszędzie, gdzie były kopalnie i huty, tam zadomowili się Czesi, gdzie zaś była ludność rolnicza, tam w najgorszych nawet warunkach utrzymał się język polski.

Bardzo cenny jest rozdział o pieśniach i przyśpiewkach. Niezbędną częścią pięknej całości są też ilustracje. Najogólniej zaś biorąc, wydawnictwo jest równie staranne jak poważne.

Na zakończenie nie sposób nie podkreślić słów autora ze „słowa wstępnego".

„Byłbym szczęśliwy, gdyby mi los pozwolił doczekać chwili, w której mógłbym odwołać zarzuty, postawione działaczom czeskim w Zaolziu. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł zobaczyć pogodne uśmiechy, gdzie widziałem łzy, i gdybym mógł przekreślić w swej książce słowo „czechizacja" i napisać: przyjaźń i braterstwo".

Wacław Filochowski. Cierpkie pobratymstwo. Książka o Czechosłowacji. Warszawa, „Biblioteka Polska", 1938; str. 303 i 5 nl.

Filochowski jest tęgim narratorem. Jego sugestywność przejawia się przedewszystkiem w ukazywaniu wydarzeń drobnych jako wydarzeń charakterystycznych czy symbolicznych nawet (feljeton p. t. „Objektywizm i tendencja"; „audycja z tendencją" vel „audycja „tendencyjna"). Odbarzony też został autor „Cierpkiego pobratymstwa" od natury bystrą, krytyczną inteligencją. Jest nacjonalistą, ale nacjonalistą niebylejakim. Na wszystkie sprawy Czechosłowacji patrzy poprzez swoje okulary, ale umie to robić tak, że nie odstrasza czytelnika. Jego sylwetki Hlinki i Sidora są prawdziwie fascynujące. Widać też z książki Filochowskiego, że zbyt symplicystyczny zachwyt dla demokratycznego régime'u Czechosłowacji musi się równać zamykaniu oczy na wiele przykrych i bolesnych realjów. Co nie pozostaje, oczywiście, w sprzeczności z faktem, że stosunek demokraty polskiego do „problemu Czechosłowacji" będzie poważnie różny, jeśli nie przeciwny (w swej zasadzie) poglądom autora „Cierpkiego pobratymstwa". Dla demokraty musi być sprawą istotną nie tylko rzeczowy materjał przemówień takiego Sidora, ale i odpowiedź na pytanie: komu te przemówienia w danym momencie historycznym najbardziej idą na rękę? I jeśli odpowiedź wskaże na opancerzone widmo hitlerowskiego imperjalizmu — jakże potem lękać się „Golema w fartuszku", tej aż nadto oczywistej mistyfikacji historjozoficznej Filochowskiego?

Janusz Konrad Urbach. Udział Żydów w walce o niepodległość Polski. Łódź, Związek Żydów Uczestników Walk o Niepodległość Polski, 1938; str. 206 i 2 nl.

W ciągu roku 1937 na łamach łódzkiego „Głosu Porannego" Janusz Konrad Urbach, oficer rezerwy, odznaczony krzyżem niepodległości, zamieszczał fragmenty swej pracy, dotyczącej udziału Żydów w walkach o niepodległość Polski. Obecnie praca ta ukazała się w wydaniu książkowem, ozdobiona licznemi ilustracjami. Autor oparł się na bezspornych źródłach i dokumentach historycznych. Książka jego, dziś bardziej na czasie, niż kiedykolwiek, winna się przyczynić do rozproszenia uprzedzeń, opartych na fałszu historycznym, i do wzmocnienia poczucia wspólnoty dziejowej wśród różnych wyznaniowo odłamów naszego społeczeństwa.

Połowa książki poświęcona jest okresowi od r. 1861. Rok ten był w pewnym stopniu przełomowym, jeśli chodzi o stosunek mas żydowskich do idei niepodległości Polski. Nastąpiła wówczas „rewolucja moralna", która uświadomiła Żydom wspólność interesów wyzwoleńczych z narodem polskim. Urbach zebrał bardzo wiele danych, świadczących o masowym udziale Żydów w patrjotycznej akcji przedpowstaniowej i w samem powstaniu. Wystarczy wskazać na fakt piastowania przez Żydów szeregu wysokich stanowisk w Rządzie Narodowym. I tak w lecie 1863 r. dyrektorem (ministrem) wydziału skarbu był Henryk Wohl, pracownik domu bankowego Frenkla. W wydziale tym stanowiska sekretarzy przez pewien okres piastowali Żydzi: Wiktor Sommer i Artur Goldman. Po kilku miesiącach pracy w rządzie Wohl został aresztowany, a następnie skazany na karę śmierci. Karę tę zamieniono mu na dożywotnią katorgę na Syberji; po dwudziestu latach wrócił do Warszawy, gdzie pracował w banku i zmarł w r. 1907. Za dyktatury Traugutta członkiem Rządu Narodowego był Władysław Epsztajn, syn żydowskiego bankiera i dyrektora kolei warszawsko-wiedeńskiej; aresztowany, osadzony w cytadeli, skazany na śmierć, ułaskawiony na podstawie amnestji, odsiedział kilka lat w twierdzy modlińskiej. Zmarł na emigracji w Paryżu w r. 1910. Wysokie stanowiska w rządzie zajmowali czterej Landowscy: ojciec i synowie. Podobnie bracia Rosmanitowie. Podobnie kilku innych. Bardzo wielu Żydów uzyskało na polu walki wysokie stopnie oficerskie.

Martyrologja powstańcza była i martyrologją Żydów. Urbach udowodnił to dostatecznie szeroko. Wyroki realnych carskiej sypały się na społeczeństwo żydowskie z okrutną obfitością. A ilu Żydów padło bezimiennie w nierównej walce z przemocą, jak ów Josek Abraham (nazwisko nieznane), krawiec z Żelechowa, który, idąc za sprawunkami powstańców, na gościńcu ku Garwolinowi schwytany przez czerkiesów, „gdy mimo gróźb i bicia nie chciał zdradzić rodaków, uwiązany na lince do konia i tak wleczony, po drodze życie przestał"?

Pracy Urbacha możnaby zarzucić dwie usterki: pewną koturnowość stylu i dość zbędny zapał polemiczny. Być może, że następne jej wydanie ulegnie w tym względzie niejakim poprawkom.

Ignacy Fik. O żywą treść demokracji. Katowice, Klub Demokratyczny, 1938; str. 35 i 1 nl.

Nie można przeczytać naraz więcej niż 2—3 artykuły Fika. Ten bardzo zresztą kulturalny publicysta pisze w sobie właściwy, ogólnikowy sposób, który na dłuższą metę staje się nużący. Wystrzega się Fik wprawdzie truizmów, ale niejednokrotnie zatrzymuje się u granic frazeologji. Wszystko, co traci u niego frazeologją, zdaje się płynąć albo z niedostatku precyzyjności myśli, albo z pewnego formalizmu pojęciowego. Np. twierdzi, że nie można przewidzieć, jak się ukształtuje organizacja przyszłej demokracji, i dodaje: „Z trzech głównych czynników normujących jej przebiegi: socjalizmu, syndykalizmu i kooperatywizmu — ustali się prawdopodobnie pewna wypadkowa dominanta, której akcentów nie można prorokować choćby z tego powodu, że w różnych okolicznościach różnie się one muszą szeregować". Strasznie trudno domyśleć się, co właściwie chciał autor w tych słowach powiedzieć. Niewiadomo, jaka wypadkowa „dominanta" (?) wystrzelić może z takiego eklektycznego socjalistyczno-syndykalistyczno-kooperatywistycznego pêle-mêle. W tym wypadku niejasność płynie z logicznego formalizmu: wymienione trzy pojęcia (czynniki) zostały potraktowane całkiem równorzędnie, jednopłaszczyznowo. U socjalisty byłoby to niemożliwe: pojęcia kooperatywizmu czy syndykalizmu są dlań dopóty puste, dopóki nie stoi przy nich przymiotnik „klasowy" („socjalistyczny") lub „nieklasowy". Także w marxowskiej „drugiej fazie socjalizmu" i związki zawodowe i spółdzielczość wyrosnąć mają z socjalizmu; socjalizm będzie więc względem nich „czemś" pierwotnem i nadrzędnem. Na to jednak Fik odpowiada nam, że „zrealizowany syndykalizm byłby stuprocentowem wcieleniem demokracji". A „zrealizowany" kooperatywizm?

Niebezpiecznie niejasne są rozważania Fika o stosunku ustroju politycznego do treści demokracji: „...różne ustroje będą mniej lub więcej odpowiednie dla demokracji. Niektóre z natury swej sprzeczne będą z jej koncepcją i praktyką... inne mogą umożliwiać ją w większym lub mniejszym stopniu...

...Technika powoływania i wykonywania władzy jest rzeczą wtórną i względną, uzależnioną od różnych okoliczności".

Od jakich mianowicie? Bo wydaje nam się, że niektóre z nich rozstrzygają w sensie negatywnym o samem istnieniu demokracji (nie jej pozorów!). Jednakże wedle Fika „można sobie wyobrazić zadowalające demokrację nawet przy instytucji dziedzicznej monarchji". Oczywiście, tak ją sobie właśnie wyobraża np. Jerzy VI. W swym beznadziejnym formalizmie Fik miesza tu konkretne przykłady niepełnej demokracji współczesnej z obrazem pełnej demokracji przyszłości. Odrywając abstrakcyjnie i sztucznie ustrój polityczny od demokracji społecznej, możemy się dogadać niestworzonych rzeczy. Możemy wskazać na Francję Napoleona III, Francję „cezaryzmu demokratycznego", jako na model demokracji. A bodaj czy tą drogą nie da się dobrnąć do tezy premjera gen. Składkowskiego, że Polski nie sposób zaliczyć ani do państw o ustroju demokratycznym, ani do państw o ustroju niedemokratycznym.

Błędny i niebezpieczny jest również następujący arcyogólnik: „Typ kultur hinduskich dostrzegał i wywyższał będzie zdecydowanie racje indywidualnej jednostki, nie mając żadnego zrozumienia dla mas, typ kultur mongolskich poddawał będzie jednostkę zupełnej niewoli gromady, w której winna się ona roztopić, wreszcie typ kultury zach.-europejskiej wejdzie na drogę równomiernego akcentowania obu momentów — jednostkowego i kolektywnego, szukając rozwiązania harmonizującego interesy obu stron. Otóż demokracja w swej istocie jest niczem innem, jak ustawicznem stawianiem i rozwiązywaniem w różnych sytuacjach tego podstawowego założenia kultury zach.-europejskiej".

Gdzie w tym schemacie pomieścić kultury, nie będące ani hinduskiemi, ani mongolskiemi, ani zach.-europejskiemi? Czy wedle niego hitleryzm nie da się wywieść z „typu kultur mongolskich"? Czemu Fik wogóle usprawiedliwia swoje zarzuty braku zrozumienia dla interesów mas u Hindusów i braku zainteresowania się jednostką u Mongołów? Jogowie czy hordy to tylko pewne zjawiska specyficzne, nie pozwalające na żadną generalizację w kwestji indywidualizmu czy kolektywizmu. W ramach ustrojów hinduskich czy mongolskich problem stosunku jednostki do masy (i odwrotnie) został rozwiązany inaczej, niż w Europie Zachodniej, ale też w sposób bardzo daleki od śmiałego uproszczenia Fika.

Z określenia demokracji jako „intuicji" (str. 30) widać, jak szeroką treść podkłada autor pod to ostatnie pojęcie. Być może zresztą, że u Fika wszelkie poznanie (w tym wypadku zrozumienie korzystności demokracji) ma charakter intuicyjny. Ważniejsze, że zdradza się tu Fik z subjektywistycznem traktowaniem rzeczywistości. Demokracja jest dlań przedewszystkiem koncepcją, gdy dla materjalisty wszelka koncepcja demokracji powstaje z objektywnych, niezależnie od poznania istniejących spraw, rzeczy i stosunków. Dlatego należy się obawiać, że determinizm marxowski może być przez Fika utożsamiony z fatalizmem.

Do obszernej dyskusji nadają się kwestje: możliwości istnienia krzywdy, niesprawiedliwości, biedy i t. d. w ustroju demokratycznym oraz stosunku demokracji do religji. Zresztą Fik poruszył w swej broszurce tyle zagadnień, że nie sposób tutaj nawet wymienić je wszystkie. Oryginalnie omówił zarzuty, stawiane parlamentaryzmowi, nie odrzucając ich naiwnie en gros. Ciekawie też potraktował ubolewanie nad hipertrofją polityki w partjach chłopskich i robotniczych. Podobnie interesujące — i do pewnego stopnia rewizjonistyczne — omówił pojęcia przewództwa, elity i hierarchji, dając ich demokratyczną interpretację. W sumie broszurka Fika jest pracą cenną i potrzebną, mimo wszelkich zarzutów, jakie w recenzji niniejszej zostały podniesione.

Zygmunt Jarosz

„NAD WISŁĄ GRAJĄ TRAKTORY"

W najbliższym czasie ukaże się w druku poemat Andrzeja Piwowarczyka „Nad Wisłą grają traktory" z przedmową Emila Zegadłowicza i 9 ilustracjami Stefana Żechowskiego.

Po niewątpliwie dającem się odczuć od kilku lat wyjałowieniu poezji ugrzęzłej w epigonizmie i awangardowości (również i dotychczasowe próby „poezji proletarjackiej" żadnego pozytywnego nie dały rezultatu) — rozjarza się jakby daleki pobrzask nowego świtu, we mgle jeszcze i ćmie — ale jednak! Fantastyczne (i zgoła makabryczne) dzieje współczesne napierają na świadomość młodych poetów. Dzień każdy i noc każda nastręcza dziś więcej niepokojów, zamieszek i niepewności, niż przed laty, powiedzmy, osiemnastu, gdy to po obłąkanem roztrwonieniu wszelkich, w ciągu sześciu lat szaleństw i zbrodni, wartości — człowiek zaczął oddychać mniej zdyszanie, zaczął na nowo odkrywać, że istnieje coś jeszcze poza grozą konania, głodem, umęczeniem i wszami, że istnieją „rzeczy ważne na ziemi, rzeczy ważne w niebie". I jest dziś znacznie gorzej; zamęt na tym odcinku, który zwie się „homo" — niebywały; plamy, perturberancje, zbite z dróg właściwych zorze polarne — w tym symbolicznym przerzucie na społeczność ludzką — to wieści katastrofę. I gwałt, i pośpiech, i ruch, i tempo, i raz jeszcze pośpiech — tak że dziesięć dzisiejszych lat przeważa dawniejszy pełny wiek życia ludzkiego.

Wrażliwość poetów nie może nie być poruszona do głębi, do dna tem wszystkiem co od wschodu i od zachodu nawiewa parny i huczący wicher; nie może nie brać udziału (myślowego i emocjonalnego zwłaszcza!) w przemianach dokonywających się nieomal co godzinę; nie może nie przeczuwać tego, co zbliża się ku społecznościom jak olbrzymia — od widnokręgu po widnokrąg — tyraljera tanków niszcząca i miażdżąca wszystkich i wszystko, niczem ów indyjski wóz śmierci najeżony lśniącemi ostrzami, zimny i obojętny na czyjś tam ból, na czyjąś tam przewlekłą mękę konania. Czuhem trupim, zgorzelizną zgliszcz, czarnym morem zalatują idące ku nam, z otchłani przemocy, pychy i zła zrodzone lata; zbliża się krok za krokiem najkrwawszy okres historji; dyktatura śmierci zawisła nad Europą, i nie tylko nad Europą, nad światem całym. Źle gospodarzy sobą człowiek dwudziestego wieku; gospodarstwo to rabunkowe; musi sprowadzić upadek; „lata pogardy"; tak jest.

Pomiędzy komunizmem, faszyzmem, klasycznym socjalizmem i neodemokracją zaplata się jak na kole tortur świadomość ludzka, rozumiejąca, że tylko najskrajniejsi dobrną przez rozjęczone pobojowiska do nowych miast i nowych wsi.

W wielomiljonowych rzeszach pogardzonych, gnębionych, poniewieranych, wydanych przez „historyczną konieczność zbrojeń" na pastwę głodu, nędzy, bezdomności i bezrobocia — narasta bunt i niecierpliwy gniew.

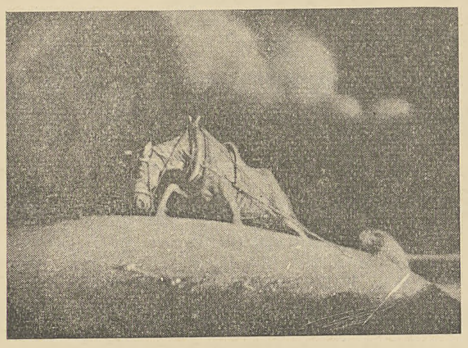
Jest więc psychika (aparat wrażliwości chwytny i nadawczy) młodych poetów pod ustawicznym obstrzałem i atakiem męki, niepokoju, współczucia i oczekiwania — a im bardziej patetyczna tem bardziej cierpiąca pod groźnym naciskiem mijania, przyspieszonego mijania, nieuchronnego mijania — żywot ciężki w grozie i półprzytomności, od zarania ciężki jak szorstki, raniący głaz — rozpadają się atomy pierwiastkowe myśli i uczuć — jakże dać sobie z tem radę i jak wytężyć wolę, aby jednak być, aby współpracować, aby brać udział w wykuwaniu oblicza epoki, aby przyspieszyć nadejście ery nowego ładu, sprawiedliwości, równej wolności dla wszystkich, ery, w której nie pieniądz, lecz praca będzie miarą człowieka, w której nie wojnę głoszących, lecz pokój czyniących obrzucać będą kwiatami rozśmiane rzesze, w której wszystkie dzieci zaznają słodyczy cukru i uśmiechu — — Tak! — to już nie o zagadnienia i problemy chodzi, tu chodzi o los człowieka, o jego byt i o tę wieczyście krwią ludzką karmioną, nienasyconą przyszłość.

Z takiem potwornem brzemieniem odpowiedzialności wkraczają w rozdygotane kurczami porodowemi życie najmłodsi poeci.

Mówię tu o tych kilku, których znam i o legjonie tych, których znać nie mogę, lecz o których wiem, iż są, iż rozproszeni wzdłuż i wszerz, nabiegłego krwią, czerwonego jak upiór, globu ziemskiego, stoją na wysuniętych czatach wszystkich południków i równoleżników.

Mówię tu o tych właśnie, którzy **nie przekroczyli jeszcze lat dwudziestu**; oto oni: przedwcześnie dojrzali, pełni wiedzy teoretycznej, wierzący i skupieni, baczni i tragiczni, ogłuszeni i przerażeni barbarzyńskim wrzaskiem swych, wstrzymanych w rozwoju, czarnych i brunatnych rówieśników.

Podwójnym oni, ci najmłodsi poeci, rządą się procederem (lub też nimi to rządzi!) — jedni przymykają oczy, zasłaniają uszy, wtulają się swym cieniem w cień odrzwi „tej złotej, tej cedrowej bramy", która z każdego dzisiaj w każde jutro prowadzi; wsłuchują się w melodje, w rytm („dawno leżysz we mnie wzorem utajonym muzyko wiersza" — precedens: Stanisław Rogowski), kształtują początkowe takty symfonji, której końca tragicznego lękają się nawet przeczuwać! — drudzy rozwartemi oczami patrzą i widzą — skłonni od nieporadnego zarania pojąć tętno epickie dziejów (na jakimkolwiek odcinku życia; — precedens: „Scena przy strumieniu" Szenwalda, „Janosik" Dobrowolskiego) — ci są oszołomieni, upici eliksirem: tą sprawą istotną, jedną i jedyną, jaka — nie rozegrać! lecz stać się musi! jak światło! Fiat lux! Nie nęci ich początkowy sukurs romantyzmu, młodopolskość „bajecznie kolorowa", choć i przecież z wielkiem „Weselem" na reducie bronowickiej, ni czartakowska poezja; słusznie! — jakkolwiek filjacje ich (filjacja może być i w kontrowersji, w przeciwstawieniu sił) stamtąd się wiodą, gardzą wszystkiem co pawiem piórem krasi się tak złudnie i tak kłamliwie! (nauczył ich tu rewizjonizm Leona Kruczkowskiego i poezje Czuchnowskiego i powieści Wasilewskiej). Przykładają ucho do ziemi — jak Indjanie na stepach, jak dzieci na szynach — i słyszą głuchy krok chłopa wkraczającego w dzieje przekształcone. Przewidujący jest ich słuch, choć może jeszcze ich mami tętent własnej, młodej krwi w skroni; lecz patrzą jasno, bystro i realnie; widzą: jawną nędzę, głód i poniewierkę i udrękę wszelką, i godności ludzkiej ostateczne zaprzeczenie, ponurość, wyczerpanie i wielką noc; — jawa i sen ich pełne są szarpiącego niepokoju wstrząsanego przypółnocnym buntem, tajonym jeszcze i małosłownym, i gniewem, który ma kształt zaciśniętej pięści.



Stefan Żechowski: Fragment okładki do poematu A. Piwowarczyka

Do tych i takich — najmłodszych należy Andrzej Piwowarczyk. Cały — z ciałem i poezją, która tegoż ciała najszlachetniejszą jest funkcją — należy do teraźniejszości, która ponad wszelki wyraz łapczywa jest i przerażająca; przystanął na rozstaju pomiędzy tragizmem dni dzisiejszych i przyszłością grającą traktorami... nad Wisłą!

Tyle. Aż zadużo. Chciałem tylko podcieniować w najogólniejszych, najzupełniej niewystarczających konturach tło, z którego prawem przyrodniczem wyrósł ten zdumiewający poemat najmłodszego poety.

O poemacie nie powiem nic. Jeśli słaby — nie trzeba! — jeśli świetny — tem bardziej!

Emil Zegadłowicz

SZLACHETNA DZIAŁACZKA

Rok 1905, rok potężnego wysiłku ludu pracującego, przechodzi powoli w sferę legendy. Młode pokolenie nie zna i nie rozumie ówczesnych wydarzeń. U ludzi starych upamiętniły się te krwawe lata przeważnie pod postacią strajków. „Kiedy były te strajki" — tak niejeden określa ówczesną dobę. Inny pamięta konfiskatę kas rządowych, zajmując względem tego zjawiska stanowisko dodatnie lub ujemne, zależnie od orjentacji politycznej. O stronie ideologicznej najmniej się mówi.

Najmniej się mówi i pamięta o ludziach tego okresu, z wyjątkiem tych, o których każe pamiętać oficjalna propaganda. I gdy ówcześni czołowi działacze, jeden za drugim schodzą do grobu, dzieje się to jakoś niepostrzeżenie.

A opuszczają nas ludzie nieladajakiej miary.

W tych dniach zmarła jedna z największych działaczek minionego rewolucyjnego okresu, dr. E. Golde-Strożecka.

Ujrzałem ją po raz pierwszy na słynnych kursach wakacyjnych w Zakopanem, na owym, jak go nazwano, uniwersytecie socjalistycznym, w roku 1905, w miesiącach letnich. Nie brakło wówczas w Zakopanem ani jednego z czynnych działaczy. Była to wielka kuźnia czynu. Gdyby nie owe kursy, zabrakłoby może kierowników dla ruchu, który stał się wkrótce masowym, po raz pierwszy i jak dotychczas, ostatni w naszych dziejach.

Gdzieś w końcu lipca w sali Morskiego Oka odegrano „Tkaczy" Hauptmanna. W ostatniej chwili rozeszła się wiadomość, że z tej okazji szykuje się wielka manifestacja.

Sala była przepełniona. Oprócz emigrantów i działaczy z Królestwa, było dużo miejscowych robotników budowlanych, których organizował niedawno zmarły Paweł Ławkowicz, wykonawca zamachu na osobie naczelnika kolei nadwiślańskiej, Iwanowa. Było też dużo osób spośród sfer zamożniejszych Królestwa, które u siebie, w istniejących warunkach cenzuralnych, nie miały nigdy możności ujrzenia „Tkaczy" na scenie.

Nastrój podczas przedstawienia był tak burzliwy, że ci przedstawiciele „burżuazji" przeważnie przed ostatnim aktem chyłkiem opuścili lokal teatralny.

Po przedstawieniu organizatorzy demonstracji obsadzili wejścia, prowadzące do Morskiego Oka, tak że publiczność, opuszczająca teatr, nie miała możności powrotu do domu i, rada nierada, musiała uczestniczyć w zaimprowizowanym wiecu. W wiecu, dodajmy, na który nie było pozwolenia, ale ktoby się z tem liczył w owych czasach! Atmosfera rewolucyjna Królestwa oddziaływała i na Galicję.

Po pierwszych przemówieniach, które tchnęły skrajną rewolucyjnością, niektórzy usiłowali protestować, wołając, że przyszli na przedstawienie teatralne a nie na wiec, jednak uciszono ich, a nieliczna policja, zastraszona postawą tłumu, zachowała się zupełnie biernie.

Po dwóch czy trzech przemówieniach rozległ się dźwięczny, metaliczny głos kobiecy. Głos ten jakże odbiegał od szablonu wiecowego. Jakże inne padały słowa od tych, które się słyszało na terenie byłej Galicji po tysiąc razy, z nieuchronnemi „precz"-ami i hańbowaniem. Wszyscy się skupili i zaczęli słuchać pilnie, aby nie uronić ani jednego słowa z przemówienia tej urodzonej mówczyni.

To mówiła Strożecka, głośna działaczka ówczesnej P. P. S., żona niedocenionego i szlachetnego działacza, Jana Strożeckiego, kobieta, której życie już wówczas upływało na szlakach więziennych — i w cytadeli warszawskiej, i na Śląsku, gdzie, aby móc działać bez przeszkody, wzięła ślub fikcyjny ze znanym tamtejszym działaczem Casparim.

Mówiła krótko, ale mocno i gorąco i porwała publiczność, która zapomniała o swoich pretensjach do rewolucji spowodu strajków i zdobywania kas. Stała zasłuchana, jakby po raz pierwszy zaczynała rozumieć konieczność rewolucji i świętość niesionej ofiary życia własnego. Mówiła o Stefanie Okrzei, o którego straceniu, wbrew wszelkim przewidywaniom, nadeszła tegoż dnia z Warszawy smutna wiadomość, gdy zaczęła mówić wreszcie o matce Okrzei i o jej bohaterskiej postawie, rozległy się łkania.

Nikt już nie upominał się o policję, nikt nie protestował, że mu przeszkadzają pójść do domu lub zjeść kolację w restauracji. Wszyscy stali zasłuchani i jakby oczarowani słowami mówczyni, wygrywającej cudną melodję na ludzkich sercach. Czekali, co dalej powie. Czekali jeszcze, gdy już mówić skończyła.

Potężny dar słowa i wielkie serce E. Strożeckiej wzbudziły szlachetne porywy w sercach ludzkich. I ta rewolucja, importowana skądś z Rosji, jak niejeden nazywał Królestwo, nagle wydała się sprawą bliską, wspólną, wartą poświęcenia.

Nieraz później słyszałem Strożecką. I twierdzę, że nikt prawie z ówczesnych działaczy nie umiał tak grać na sercach ludzkich. Nikt nie umiał wydobyć z czynu rewolucyjnego tyle nieśmiertelnego piękna.

W 1906 roku Strożecka stoi od lutego do czerwca na czele P. P. S., jako członek Komitetu Centralnego, potem, po burzliwej Radzie Partyjnej, zostaje kierowniczką Okręgowego Komitetu Warszawa Podmiejska. Jest zwolenniczką terroru wobec osób, stojących na czele rządu i odpowiedzialnych za system, sprzeciwiając się zarówno tym, którzy nie chcieli ostrej walki, jak i tym, którzy chcieli wszystkie siły rezerwować dla jakiejś przyszłej, bliżej nieokreślonej, akcji wojskowej.

Wbrew tym, którzy uważali ją za najbliższą sobie, stoi twardo wraz z mężem na gruncie ideału niepodległości. W Paryżu prowadzi na emigracji żywą działalność społeczną. Traci tragicznie męża, który się poświęcił dla ratowania nieznanego człowieka.

Po wojnie światowej poszła innemi drogami, niż jej dotychczasowi towarzysze pracy. Ale cokolwiek czyniła, czyniła zawsze z pobudek najczystszych i przeciwnicy umieli ją uszanować.

Zmarł człowiek wielkiego serca, nigdy nie oszczędzający siebie w służbie idei.

Jan Krzesławski

Opowieść o muzykalnym generale

Pewien pruski generał
cały dzień zrzędził, gderał
a wieczorem — wieczorem się zmieniał...
Nie bił junkrów po mordzie,
siadał przy klawikordzie,
grał Chopina i cały promieniał...

Konglomerat więc zalet
krył się w tym generale,
skarby dziwne snać w sercu swem chował...
Bo w domowych zaciszach
dłonie kładł na klawiszach,
zaś za dnia temi dłońmi mordował.

Kilka znaczków na mapie
i już trzymał w swej łapie
nieprzyjaciół — i krwi toczył strugi.
A wieczorem — to koniec!
Ekstatyczne dwie dłonie
wygrywały etiudy i fugi...

Nie pił wódki, ni wina,
ale nim coś zaczynał
przy klawiszach noc spędzał do rana...
Zadumany grał walce,
patrzył na swoje palce,
liczył tanki i nucił Schummana...

Rankiem dumkę grał rzewną,
pułki słał na śmierć pewną,
nie zwykł żadnej potyczki omijać.
Potem krew... rany... eter...
Ryczał: Dreck! Donnerwetter!
— — — a potem... grał „Ave Maria"...

Płakał nad ludzkiem drańtswem,
nad kajzerem, nad państwem,
i że ludzi posyłał do czarta.
Bił się w piersi i kajał,
potem się uspokajał,
zasłuchany w rzewnego Mozarta...

Teatralnie (ktoś powie)
kończy się ta opowieść
o wojaku, co kochał Chopina,
kulomioty na dachach
i armaty, i Bacha,
i szrapnele i Beethovena...

Bo to raz, proszę panów,
spadł grad bomb z aeroplanu,
zburzył miasto i zasiał trupami...
Trafiony kulą umierał
muzykalny generał,
co raporty pomieszał z nutami...

A w żałobnym pochodzie
szła orkiestra na przodzie,
zawodziła nieszczerze i dziko.
Nie niesiono medali...
Na lawecie, w oddali
jechał czarny posępny klawikord...

Władysław Szlengel

OBLICZE DNIA

Pytania naiwne. Minister Beck oświadczył, że Polska nie chce należeć do żadnego „bloku ideologicznego“. Dlaczego jednak „Gazeta Polska“, pół-oficjalny organ naszego M. S. Z., zamieszcza, jeśli chodzi o Chiny, Czechosłowację i Hiszpanję, niemal wyłącznie komunikaty, pochodzące z Tokjo, Berlina i Salamanki? Dlaczego zamiast informacji i prawdy uprawia się propagandę — jednego z „bloków ideologicznych“? Dlaczego prasa prorządowa („Gazeta Polska“, „Kurjer Poranny“) pisze o państwach demokratycznych z ironją i w cudzysłowie? Dlaczego dzienniki te poruszają pewne kwestje w tym samym czasie i podobnie jak prasa hitlerowska?

Minister Beck jest obrońcą praw mniejszości polskiej w innych państwach. Dlaczego jednak jest tyle hałasu, wrzawy i demagogji o sytuacji stukilkudziesięciu tysięcy mniejszości polskiej w Czechosłowacji, niema zaś zupełnie mowy o prześladowaniach i ciężkiem położeniu półtora miljona Polaków w „zaprzyjaźnionych“ hitlerowskich Niemczech? Dlaczego głosy o złem położeniu Polaków w Niemczech i Gdańsku są konfiskowane? Dlaczego cenzura konfiskowała wszelkie informacje o manifestacjach ludności polskiej na Pomorzu przeciw imperjalizmowi hitlerowskiemu?

Łączą nas układy i umowy międzynarodowe nie tylko z Niemcami. Utrzymujemy jakoby dobre stosunki z Francją, Anglją i Stanami Zjednoczonemi. Dlaczego jednak cenzura konfiskuje wszystko cokolwiek niepochlebnego napisze się o Hitlerze (nawet najniewinniejsze karykatury i wiersze satyryczne), nie są natomiast konfiskowane brutalne oszczerstwa i napaści na prezydenta Lebruna i prezydenta Roosevelta?

P. A. T. nie jest przedsiębiorstwem prywatnem, jest polską agencją urzędową. Jego zadaniem jest podawanie wiadomości prawdziwych, wszechstronnych, informowanie o wszystkiem, co się dzieje w kraju i zagranicą, co dotyczy państwa polskiego. Dlaczego jednak P. A. T. jest obrońcą wolności słowa i prasy, ale w Czechosłowacji? Dlaczłego szeroko rozpisuje się o konfiskatach „Dziennika Polskiego“ w Czechosłowacji, ani słowem zaś nie wspomina o licznych konfiskatach pism polskich w Polsce? Dlaczego P. A. T. podaje często wiadomości fałszywe, tendencyjne, nie mające nic wspólnego z prawdą? Dlaczego tak często jedynem źródłem „informacyj“ jest Deutsches Nachrichtenbüro, agencja Domei i komunikaty gen. Franco?

Towarzystwo Księgarni Kolejowych „Ruch“ posiada monopol sprzedaży czasopism na dworcach kolejowych i w licznych miejscowościach zdrojowiskowych. Jako przedsiębiorstwo handlowe „Ruch“ nie może się kierować względami politycznemi; powinien przyjmować do sprzedaży wszystkie pisma. Dlaczego jednak „Ruch“ nie kolportuje wielu pism polskich i w Polsce wychodzących (wcale nie „antypaństwowych“), kolportuje natomiast masowo pisma niemieckie ze swastyką, Hitlerem, Goeringiem i Goebbelsem? Czy sprzedaż pism hitlerowskich opłaca się „Ruchowi“, a jeśli nie — kto pokrywa deficyt? Dlaczego „Ruch“ nie przyjmuje do sprzedaży demokratycznych pism polskich, motywując to m. inn. tem, że sprzedaż ich nie opłaca się? Czyż w takim razie jest aż tak dużo hitlerowców w Polsce, znających język niemiecki, że „Ruchowi“ opłaca się kolportaż pism, sprowadzanych z Niemiec? Czy „Ruchowi“ wiadomo, że wszystkie niemal pisma hitlerowskie, które kolportuje, traktują wrogo lub z lekceważeniem naród i państwo polskie?


Pod czujnym okiem

Na poświęcenie sztandaru ludowego do Lencz (powiat Wadowice) przybył — jak to już donosiliśmy — prezes Rady Naczelnej S. L. p. Brunon Gruszka. — Ilustracja nasza przedstawia p. Gruszkę, za nim usadowił się posterunkowy P. P.

„Piast“ 28. VIII. 1938.

„Nasi przyjaciele“ o nas. W pracy „teologiczno-politycznej“ Wilhelma Stapla „Der christliche Staatsmann, eine Theologie des Nationalismus“ czytamy: „Gdyby w całej Polsce miało mieszkać tylko dwóch Niemców, byliby oni więcej warci, niż miljony Polaków“. W rozdziale „Imperjum teutońskie“ autor głosi: „Musi się jeden naród jako wielki i wspaniały wysunąć ponad inne. Jeden naród musi swą władzę nd innemi umocnić! Jeden naród musi stworzyć prawo i imperjum i przez nowy imperjalizm powołać do życia prawo europejskie! Przedstawicielem tego nowego imperjalizmu może być tylko naród niemiecki...“.

Hitler w szkołach polskich! Pod tym tytułem „Robotnik“ z dnia 10 września donosi: „W Warszawie, w pierwszej klasie licealnej, nauczyciele języka niemieckiego kazali uczniom streścić orędzie, odczytane w Norymberdze.

Uczniowie szukają teraz po mieście prasy hitlerowskiej z oryginałem orędzia.

Co to jest? Czy niema już innych źródeł nauczania języka niemieckiego? Czy nauczyciele języka niemieckiego w Warszawie uznali już Hitlera za klasyka literatury niemieckiej?“.



Wyższa szkoła jazdy

„Marianne“

KRZYK W NOCY

Już cię sen pieszczotliwie uśmierca,
pajęczynę nad głową ci rozsnuł.
Mocny liryk i czuły szyderca,
śpisz — a maje śpiewają ci do snu.

Pajęczyna osnuła już głowę,
sny cię tulą radosne, puchowe.
Pierwszy sen:
— trawa pachnąca.
Drugi sen:
— sława gorąca.
Trzeci sen:
— mustang cwałuje.
Siódmy sen:
— usta całują...
Aż wtem nagle spoza siedmiu snów
zbudzonego życiu wraca znów
głos słabnący, który brzmi zdaleka:
krzyk
bitego
człowieka!

Leonid Fokszański

Korespondencja

SPRAWA WŁ. SŁOBODNIKA

Do redaktora „Sygnałów“.

Omawiając jeden z tomów najmłodszych poetów, wytknąłem pewien wydźwięk nacjonalistyczny pozostający pod wyraźnym wpływem prądów antykulturalnych, nurtujących w pewnym odłamie naszego społeczeństwa. Z przykrością muszę stwierdzić, że „po przeciwnej stronie“ zaczynają się dziać rzeczy w pewnym sensie podobne, rezonujące na narzucone tony. Oto w jednym z numerów „Naszego Przeglądu“ (z dnia 4 b. m.) przeczytałem wiersz Włodzimierza Słobodnika p. t. „Do polskiej lipy“. Utwór ten, o charakterze liryczno-satyrycznym kończy się sentymentalną apostrofą, z której dowiadujemy się, że „niema już cienia pod polską lipą“ dla obcego poety. Sprawa ta jest dla mnie tem bardziej przykra, że pisał ją Włodzimierz Słobodnik. W tomie „Cień skrzypka“ umieścił on m. inn. wiersz, z którego dowiadujemy się, że autor mieszkał na wsi u księdza i „szedł wraz z wierszami na mszę“, mimo że w „metryce mojżeszowe wyznanie pisane“. Tenże poeta drukował potem wiersze w pismach demokratycznych o głębokich tendencjach humanistycznych. Dlatego ostatnia wypowiedź poety na łamach „Naszego Przeglądu“ nabiera szczególnie przykrego posmaku .Prawdziwy patrjotyzm i poczucie polskiej przynależności kulturalnej jest sprawą istotnego przeświadczenia wewnętrznego i nie powinno być uwarunkowane prądami z zewnątrz. Sygnalizuję ten fakt, jako smutny objaw, który w dziejach naszej kultury, wśród pisarzy prawdziwie demokratycznych, nie powinien mieć precedensu. Na tem tle pięknie odbija wypowiedź Juljana Tuwima w jednym z ostatnio udzielonych wywiadów, że mimo szykan, mimo rosnącej fali antysemickiej, pozostanie poetą **polskim**, bo takie jest jego przeświadczenie wewnętrzne, bo tak czuje i myśli.

Przypuszczam, że podobne fakty nie zdarzą się więcej i nie spowodują sztucznych podziałów, pozostających pod niezbyt chlubnemi wpływami naszego zachodniego sąsiada. Opinję o kulturalnej przynależności poety, jeśli nie wyda jej on sam, może kształtować tylko **kulturalna** część społeczeństwa.

Jerzy Kamil Weintraub (Zakopane)

*

E. F. Tłumacz. Wiersz nie jest „bardzo dobry“. Nie skorzystamy.

Ł. K. S. Lwów. Jeszcze nie do druku. Zasyłamy pozdrowienia.

Sz. R. Zgierz. Za wycinek dziękujemy. Skorzystamy.

N. G. Warszawa. Wiersze nie będą drukowane.

Z. Orm. Warszawa. Z reportażu nie skorzystamy.

„Zi-Ma“. Kraków. Wiersze nie będą drukowane.

Ad. Sp. Łódź. Wiersze nie będą drukowane.

P. Ł. Warszawa. Z noweli „Przymierze serc“ nie skorzystamy. Oczekujemy na artykuł o literaturze białoruskiej.

J. H. Tal. Łódź. Prosimy o większy wybór.

Józ. Sob. Prosimy o większy wybór.

* * *

W poprzednim (52) numerze „Sygnałów“ z dnia 1 września: **Stefan Frank:** Niemcy podziemne. — **Józef Lubojański:** Rasizm włoski i katolicyzm. — Debjut Jana Śpiewaka. — **Marjan Czuchnowski:** Sprawa chłopska przed powstaniem styczniowem. — Nowe wiersze Weintrauba: Dwie ojczyzny. Kołysanka. — **Konstanty Anselm:** Emancypacja ruchu pracowniczego. — **Leon Strakun:** Aleksander Gierymski w Muzeum Narodowem. — **Stach Barski:** List z Ameryki. — **Marja Fidererówna:** Antyklerykalizm czy wolność sumienia. — **Franciszek Parecki:** Wystawa sztuki społecznej w Warszawie. — Oblicze dnia. — Mussolini w karykaturze. — Korespondencja (Zygmunt Jarosz). — **Jerzy Kamil Weintraub:** Wiersze Bąka. — W oczach Zachodu. — **Juljusz Krajewski:** Wrażenia z Hiszpanji (rys.). — 8 stron. — 7 ilustracyj.

DO APOLLINA

Ach, daj mi, boże, być cynikiem
z przepaską nocy na źrenicach,
z piany powstałym fryzjerczykiem,
co umie epopeję strzyc!

Ach, daj mi śmiać się z uwięzionych,
wystawiać język przez judasze
i trupom brzytwą wyostrzoną
z ludzkiej godności golić twarz!

Ducha i stopy, Apollinie,
spłaszcz mi, bym stąpać mógł po bruku,
żeby przy dźwiękach mandoliny
pod lakierkami krwawił wróg!

Odgarnij niebo mi znad czoła
i zmieć sprzed oczu śpiew i zapach
i we krwi mojej mnie nie wołaj,
lecz daj mi parę krwawych łap!

Ach, parę łap z różowym lakiem
na wypielęgnowanych szponach!
Jakże przyjemnie zwierzem takiem
z klawicymbału wyrwać ton!

Tango upojnie — paczulowe —
żeby zagłuszyć łomot armat!
Niech będę cudem epokowem:
pół-fryzjer i pół-żandarm!

Ach, wyrwij ze mnie krzyk i zorzę,
wykarczuj liryzm, bracie boże,
i wyszarp, wyszarp, Apollinie,
twój gorejący we mnie grot!

Stanisław Jerzy Lec



rys. K. Baraniecki

Noc

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK **Z drukarni „POLIGRAFJA“, Lwów, Lindego 6.**